

ziemia

• ROK II • NR 8(10) • SIERPIEŃ 1957 • 5 Zł.

*Dział Młodych Krajoznawców
„ORLI LOT”
wznowiony po 7 latach przerwy
(strona 28)*

*O NURKOWANIU opowiada
Witold Zubrzycki na str. 19*

Przedstawia wspinaczkę techniką hakową. Ten alpinista, którego widzenie na zdjęciu, to nie jest ani Terray ani Rebuffat, jak sugerowaliśmy przy podobnym zdjęciu w poprzednim numerze ZIEMI — lecz doskonały taternik polski, Andrzej Pietsch z Krakowa. Na str. 16—17 znajdziecie reportaż fotograficzny Z. Łagockiego z podkrakowskich „skalek”. Tam również wykonano oba wspomniane zdjęcia.



PRENUMERATA W KRAJU

Prenumeratę na IV kwartał br. (i następne) przyjmują placówki pocztowe, listonosze, centrala „Ruchu” w Warszawie, Srebrna 12 (konto PKO dla wpłat 1-6-100 024) oraz Oddziały „Ruchu” w W-wie, w miastach wojewódzkich i powiatowych — od 16 sierpnia DO 15 WRZEŚNIA.

Państwowe Wydawnictwo Naukowe, W-wa, Krakowskie Przedm. 79 przyjmuje wpłaty DO 25 KĄZDEGO MIESIĄCA na miesiąc następny i dalsze. Konto PKO dla wpłat 1-6-100 020. Cena prenumeraty (zarówno „Ruchu” jak i PWN) kwartalnie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie 60 zł.

PRENUMERATA ZE ZLECENIEM WYSYŁKI ZA GRANICĄ

Czytelnicy posiadający krewnych i znajomych za granicą mogą zaprenumerować nasze pismo ze zleceniem wysyłki za granicę w PKWZ „Ruch”, W-wa, ul. Wilcza 46, nr konta PKO 1-6-100 024. Cena tej prenumeraty — kwartalnie 19.50 zł, półrocznie 39 zł, rocznie 78 zł.

POPRIEDNIE NUMERY ZIEMI

Numer z roku 1957 — można nabywać we „Wzorcowni” Państw. Wyd. Naukowego w Warszawie, Krak. Przedmieście 79, lub zamawiać listownie pod tym samym adresem. Numery 1 i 2 z roku 1956 nabywać można w sklepach antykwarycznych „Ruchu” w Warszawie, przy ul. Wiejskiej 14 i Puławskiej 108, oraz zamawiać listownie w centrali „Ruchu” w W-wie, Srebrna 12, Dział Sprzedaży Prasy Antykwarycznej.

ZA GRANICĄ

zamawiać można ZIEMIĘ na 15 dni przed datą prenumeraty wpłacając odpowiednią sumę na konto 2-38-51 Narodowy Bank Polski, Warszawa, Traugutta 7, dla CHZ „Ars Polona”, zaznaczając wyraźnie: „wpłata na prenumeratę ZIEMI” i podając dokładny adres, na który pismo ma być wysyłane.

Cena ZIEMI: w St. Zjednoczonych AP — dol. 0,35, rocznie 4,20; w Wielkiej Brytanii £ 0,23, rocznie 1,89; we Francji — Fr. 105, rocznie 1380, w Niem. Republice Federalnej — DM 1,30, rocznie 19,20; w Australii — ŁA 0,27, rocznie 1.10.7. Cena egzemplarzy archiwalnych jest wyższa o 10%.

Zamówienia na ZIEMIĘ można także składać m. in. w następujących księgarniach: ZSRR — w „miejskich i gorodskich Otdielach Sojuzpечати”; NRD — Zeitungsvertriebsamt II C, Berlin NW, Clara Zetkin str. 62; Czechosłowacja — 1) Melantrich, Abt. I, Ausl. Presse, Praha XVI, V. Hugo 4, 2) PZKO Knihkupectvi Karvina II/Doly tr. Culew. Armady, 3) PZKO C. Tešin Gottvaldova 15; Anglia — Cracovia Book Company, 58 Pembroke Rd. London W 8; Australia — 1) Current Book Distributors, 40, Market Street Sydney, New South Wales, 2) Gordon & Gotch (A) Asia Ltd. Melbourne; Izrael — 1) „Sifriat Poalim” Workers Book-Guild (Hasomer Hatzair) Ltd. Tel-Aviv, 73 Allenby St. P.O.B. 526, 2) „Haflepac”, Haifa, Arlosorov St. 11 Nordan St. 15 P.O.B. 1794, 3) „Lepac”, Tel-Aviv, P.O.B. 1136; Kanada — Syrena Book and Travel Agency 2 P. 94 A Dundas Street, W. Toronto 3, Ontario; Francja — 1) Le Livre Polonais en France, Paris VIII-ème, 29 bis, rue Jean Goujon, 2) Agence Litteraire et Artistique Parisienne, 7, rue Debelleyne, Paris III-e; USA — Dolphin Service, 441 Bellevue Drive, Falls Church 1, Virginia.



— ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, organ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZEGO. Przewodniczący komitetu redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSLAW BURCHARD, zast. red. nac. — JANUSZ GRZYBOWSKI, sekr. red. — LESZEK DZIEGIEL, red. działu — MARIAN KORNECKI, układ graficzny — ZBIGNIEWA ŁAGOCKIEGO. Tymczasowy adres redakcji: Kraków, plac Wiosny Ludów 8, tel. 571-04. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE, Oddział w Krakowie, Smoleńsk 14, tel. 596-76. Nakład 17.040+217 egz. Pap. rot, 70 g. Do składania 25 lipca 1957 r. Podpisano do druku 16 sierpnia 1957 r. Druk ukończono w sierpniu 1957 r. Zam. 417/57. M-15. DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

O WILKU MOWA

ANDRZEJ ŁASZCZYŃSKI

Kilka lat temu idąc pod wieczór zarośniętym duktem z Oboczy do Huszcz, usłyszałem nagle parę krótkich charknięć. W tym momencie kilkanaście kroków przede mną spory wilk przesadził dukt. Nie trzasnęła ani gałązka, ni liść nie zaszeleścił. Zdawało się, że uległem złudzeniu. A przecież byle zając potrafi narobić takiego tupotu, że skóra może na człowieku ścierpnąć. Innym razem na Łabowskiej Hali w ostatnich dniach listopada, kiedyśmy nabierali wodę w lesie już o zmroku, wilk lub może kilka wilków zaczęło podchodzić ku nam. Nic nie było slychać. Ostrzegł nas pies wyżeł, obeznany z wilkami.

Czyta się nieraz w prasie codziennej, że wilki znów pojawiły się w okolicach gdzie ich od 150 lat nie widziano, że wilki pożarły ileś tam sztuk bydła, że ktoś przesiedział kilka godzin na drzewie w wilczym oblężeniu. „O wilku mowa — a wilk tuż”. To stare ludowe przysłowie znów stało się aktualne.

Beskidzkie wioski znajdują się w pełni pod wrażeniem świeżych wilczych wyczynów: a to wilk wszedł do sieni, a to wilki chodziły za krowami po pastwisku, a to kozę porwały. Krążą nawet głuche wieści o dzieciach rozdartych przez wilczą watahę. Z drugiej jednak strony narciarskie raidy nawet w Bieszczadach przechodziły, nie spotykając wilka, a jedynie natrafiając na jego tropy.

Czy więc należy się wilka obawiać, czy można go lekceważyć? Wprawdzie inne przysłowie mówi: „nie wywołuj wilka z lasu”, ale spróbujmy to właśnie zrobić, aby móc odpowiedzieć na postawione pytanie.

Wilk na łowy wychodzi zwykle o zachodzie słońca i poluje całą noc. Można go spotkać powracającego z wyprawy nawet o wczesnym przedpołudniu dnia następnego.

Nie jest to więc typowy drapieżca nocny. Rzecz charakterystyczna — wilki nie polują w okolicy gniazda w promieniu około 5 km. Trudno się więc nieraz domyśleć istnienia gniazda w okolicy pozornie nie nawiedzanej przez wilki. W czasie wypasu owiec w rejonie Wetliny w Bieszczadach jeden z gazdów zauważył, że owce unikają niewielkiej lecz gęstej olszyny położonej niezbyt daleko od baciówki. Ponieważ jednak nie zginęła mu dotychczas żadna sztuka, nie przywiązywał do tego większej uwagi. Wczesną jesienią, już pod koniec wypasów bacia i juhasi o

świecie zostali zbudzeni pewnego dnia ujadaniem psów. Gdy pospiesznie wybiegli z szalasu, ujrzeli jak wadera (samica) a za nią trzy podrosłe wilczki opuszczały olszynę i sznurowały do lasu. W gęstwinie olch znaleziono ich świeżo opuszczone gniazdo i sporo resztek po owcach, które zginęły sąsiednim bacom.

Trop wilczy podobny jest do psiego, tylko większy, 8—10 cm długi, silnie odcisnięty, bowiem wilk bywa znacznie cięższy od psa. Pazury są bardziej rozwarte niż u psa. Dokładnie nie będąc tego tropu opisywał, gdyż w praktyce tylko jego wielkość jest dla amatora tropów dostatecznie wyraźna.

Wilcza wataha sznurująca lasem zawsze pozostawia jeden trop, gdyż każdy następny wilk stawia łapy w ślad swego poprzednika. Trzeba nie byle jakiej wprawy, żeby rozpoznać po tropie ile wilków przeszło.

Barwa wilczej sierści jest szarawa, nieco płowa o wyraźnie zaznaczającej się białej serwetce wokół pyska, uszy stojące, głowa potężna i nisko zwieszona, oczy bardzo skośne. Ogon w kształcie obfitej kity zawsze — nawet w czasie ucieczki zwiisa nisko opuszczony. Wilk nigdy nim nie macha jak pies. Nie szczeka też jak pies, lecz wyje przeciągle, a czasem — w pogoni lub walce — charkocze.

W lecie wilk robi wrażenie jakby wyleniałego i zagłodzonego, choć nim w rzeczywistości nie jest. Rosłe sztuki wśród basiorów (samców) mogą przekraczać 70 kg wagi i dochodzić do metra wysokości w łopatce, przy 1,5 m. długości licząc od czubka nosa do końca ogona. Przeważnie jednak są one znacznie mniejsze, zwłaszcza w Beskidach.

Wilki zbierają się w watahy. Już w pierwszej połowie grudnia „organizują” wspólne łowy ze ścisłym podziałem ról. Są to więc polowania z nagonką, gdzie grupa wilków zasadza się na przesmykach a jeden lub kilka innych powoli nagania zwierzynę w zasadzkę, albo tzw. „gon”, gdzie cała wataha gna za uciekającym zwierzem. Wtedy jeden z wilków trzyma się ściśle tropu ściganego ofiary a dwa inne zachodzą z boków. W chwili ataku jeden z bocznych prześladowców rzuca się do gardła zwierzęcia. Wilk w pościgu może przekroczyć szybkość 50 km na godzinę, wprawdzie na stosunkowo niewielkiej przestrzeni, ale zawsze w decydującym momencie. Chwył wilczych zębów jest niezawodny. Drapieżnik trzyma gardło

ofiary z niezwykłą siłą i nawet miotany na wszystkie strony nie rozewrze szczęk.

Wilk polujący w pojedynkę lub we dwójkę nie chwytą wpięrow nigdy za gardło, a tylko rani boki uciekającej zwierzyny. Szybko ją tym osłabia a wyčerpane zwierzę łatwo mu później dobić. Prócz tych sposobów polowania wilki stosują najrozmaitsze rodzaje zasadzek, obław czy pozornej ucieczki, np. dla wywabienia psów z osady.

Wilcze gody (cieczka) zaczynają się w Polsce w połowie stycznia i trwają do drugiej połowy lutego. W tym czasie watahę prowadzi wadera. W pozostałej części roku wodzem stada jest basior. U nas na ogół nie spotyka się watah większych, jak do 6 sztuk. Wilki w okresie cieczki — choć mniej zajęte polowaniem — są jednak najniebezpieczniejsze ze względu na podrażnienie basiorów, bijących się o waderę.

W zimie wilki polują na pewnych liniach łowieckich, przy czym poszczególne watahy przebiegają mniej więcej stale tą samą linią tam i z powrotem. Poruszają się po niej ruchem wahadłowym między nieraz bardzo odległymi punktami końcowymi. W ciągu nocy wilk swobodnie polujący może przebiec około 50 a przynaglony nawet 100 km. Jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że właśnie w czasie tych polowań przesuwały się one coraz dalej na zachód.

Obecnie w Polsce na prawym brzegu Wisły mamy już we wszystkich większych kompleksach leśnych wilki zagnieźdzone na stałe. Natomiast na lewym brzegu żyją raczej wilki wędrownie, choć ostatnio w borach pomorskich i sudeckich należy się spodziewać i stałego osiedlenia się tych zwierząt. Dochodzą wieści, że wilki pojawiły się już za Łabą. Odrę pojedyncze sztuki przekroczyły już ze cztery lata temu. W tej chwili najwięcej w kraju, bo około 500 sztuk wilków żyje w województwie białostockim, następnie idą województwa: rzeszowskie — 300 sztuk, lubelskie — 200, olsztyńskie 150 i krakowskie — 100. W innych województwach mamy prawdopodobnie po kilkadziesiąt i kilkanaście wilków. Należy się spodziewać, że na jesieni 1957 r. będziemy szczęśliwymi posiadaczami jakichś 2500 wilków. Ciekawa rzecz, że w 1950 r. liczba wilków nie przekraczała 1000 sztuk a około 1935 r. mieliśmy w Polsce wszystkiego około 100 wilków.

Co jest powodem tej wilczej inwazji.



trudno powiedzieć. Zapewne mamy tu do czynienia ze zjawiskiem bardziej złożonym, niż się to na pierwszy rzut oka wydaje i nie tylko spustoszenia wojenne i wyludnienie kraju odgrywają w nim rolę. Wędrówki ze wschodu na zachód obserwujemy przecież u wielu innych gatunków zwierząt.

Skoro napływ wilków przybiera tak znaczne rozmiary, dlaczego nie zorganizujemy wielkich polowań, np. z udziałem wojska i nie powystrzelamy groźnych drapieżców? Jeden wilk może zjeść rocznie około półtorej tony mięsa, a jak niektórzy podają, nawet i dwie. Dla porównania warto przypomnieć, że jeden człowiek w Polsce spożywa na rok niecałe 40 kg mięsa, licząc w tym tłuszcze zwierzęce. Niestety — polowanie na wilki to trudny problem. Niezwykła inteligencja i doskonale przystosowanie do warunków sprawiają, że łowy na tego drapieżnika należą do najtrudniejszych.

Wilki gnane przez nagonkę na linię myśliwych, gdy tylko zorientują się w sytuacji, zalegną w niedostępnych gąszczach lub przebiją się przez nagonkę, raniąc niekiedy naganiaczy. Cóż w tym dziwnego? Przecież polowanie z nagonką, to ich własny, wilczy sposób, którego tajniki znają na pewno lepiej niż człowiek. Niech mi kto wyjaśni, dlaczego drwale, wozacy lub kobiety zbierające jagody widzą nieraz wilka a myśliwy może chodzić całymi dniami za jego tropem i nie poza śladami nie ujrzy? Można co prawda zwać wilki wykładając w lesie mięso, ale nie zawsze. Wilk dobrze wie, że nieżywe mięso nie chodzi samo po lesie. Traktuje więc je podejrzliwie, nie chce go ruszać. Często też czeka, by lisy pierwsze zaczęły rwać mięso. Przy takiej przynęcie myśliwy musi przesiedzieć się w ambonie, budce skleconej parę metrów nad ziemią przez noc całą, na mrozie, w ciągłym napięciu. Wilk bowiem zjawia się i znika jak cień. Bywało, że nawet dwutygodniowe czaty noc w noc nie dawały rezultatu. A ileż razy nieostrożność myśliwego lub byle drobny przypadek spłoszyły wilka? Opowiadał mi jeden z białoruskich chłopów, że myśliwską ambonę przy mięsie stale obserwował ogromny, stary, bardzo niebezpieczny basior. Mimo, że na ambonę wchodziło dwóch myśliwych, z których jeden po chwili wracał do wsi, wilk nie podchodził do mięsa tak długo aż nie opuścił ambony i drugi. Zastrzelono go wówczas, gdy obaj my-

śliwi podeszli do ambony owinięci ciasno jednym kocem, by robić wrażenie jednego człowieka i gdy jeden z nich opuścił zasadzkę w tymże kocu niesionym na szeroko rozpostartych rękach. Może najskuteczniejszym sposobem jest fladrowanie ostępu, w którym zaległy wilki. Jednak dość szybko uczą się one lekceważyć czerwone gałganki na sznurze a w terenie górskim metoda ta jest zawodna, gdyż niesposób tak ofladrować wszystkie wąwozy i rozpadliny, by wilki nie znalazły przejścia.

Jest sporo ciekawych sposobów polowania na wilki, jednak wszystkie wymagają mistrzowskiego opanowania tej trudnej sztuki, a więc całych lat praktyki. Niestety ludzi którzy rzeczywiście znają się na wilczym polowaniu można w Polsce policzyć na palcach jednej ręki. Polowania te, z zasady przeprowadzane zimą, wymagają wytrzymałego zdrowia i specjalnego ekwipunku. Należy traktować je już nie jako zawód czy sztukę lecz wprost jako walkę prowadzoną przez wilczarza-człowieka, umiejącego myśleć wilczymi kategoriami.

Opuściliśmy jednak wilczą rodzinę w momencie, gdy basior odegnawszy rywali został przychylnie przyjęty przez waderę. Od tego momentu wilcza para przebiega razem lasy, wyszukując odpowiedni teren dla założenia gniazda. Z zasady będzie to miejsce nie odwiedzane przez ludzi, ale nie zawsze zbyt odległe od dróg, gdyż wilki lubią nimi wędrować a nawet obserwować ruch na nich. Natomiast zawsze musi się w pobliżu znajdować woda. Często miejsce na gniazdo obierają wilki w gęstych krzakach lub młodnikach, wśród porośniętych wysoką trawą polan leśnych. Samo gniazdo jest płytką, skąpo wysłaną zeschniętymi liśćmi jamą pod wykrótem lub pnem. Młode wilczęta przychodzą na świat w ciągu kwietnia, zwykle w liczbie około czterech. Rodzice troskliwie opiekują się nimi, znosząc im zdobycz upolowaną w nocy, a wczesną jesienią nawet żywe zwierzęta, żeby wilczki wprawiały się w polowaniu. Jesienią cała wilcza rodzina zaczyna polować razem. Trwa to do zimy, najdalej do lutego, gdyż w czasie ciecarki rodzina rozpada się definitywnie. Zdarza się jednak i to nie rzadko — że jeden z wilczków pozostaje przy waderze na następny rok i spełnia w gnieździe rolę niańki w czasie nieobecności rodziców. Ten dziwny obyczaj można zaobserwować niekiedy nawet u psów.

W czasie wędrówek po górach tak zimą jak i latem spotykałem nierzadko tropy wilcze w pobliżu osad ludzkich. Natomiast tylko w jednym wypadku w rejonie grzbietów — na Hali Łabowskiej, jeszcze w czasach przed zagospodarowaniem schronu. Znaczyłoby to, że o wiele bezpieczniejsze są odludne grzbiety górskie, niż okolice siedzib ludzkich. Zwłaszcza szczególnie dużo wilków przebywa w pobliżu owczych koszarów. Nie należy się więc specjalnie przejmować opowiadaniem baców o ilości wilków, gdyż są oni szczególnie „uprzywilejowani” jeśli chodzi o wilcze towarzystwo. Wilczej parze bardziej się przecież opłaca założyć gniazdo o parę kilometrów od bacówki (przypadek Wetliny jest zupełnie wyjątkowy) i porywać owce, niż uganiać się godzinami za płochliwą zwierzyną leśną.

A co należy zrobić, jeżeli spotka się wilka? Trzeba postępować podobnie jak w wypadku obskoczenia przez złe psy. Zachować spokój i w żadnym wypadku nie uciekać, gdyż wówczas sytuacja nasza staje się jasna dla wilka: „ucieka”, więc to mięso jadalne.“ Spokojny marsz łądzi respekt. Najkorzystniejszy jest cichy, jakby skradający się krok, który stwarza pozory, że to my polujemy. Dlatego namiot, stojący w lesie w miejscach dla wilka niezwykle budzi jego niepokój. Rodzi podejrzenie jakiejś zasadzki. Znam wypadek gdy kilku myśliwych, zaskoczonych w zimie przez zademkę i noc, zostało otoczonych przez wilki. Okrążały ich, biegnąc ciągle dookoła na granicy widzialności. O strzale nie mogło być mowy. Myśliwi zachowali spokój i zwolna w zwartej grupie doszli szczęśliwie do wsi, odprowadzeni przez wilki aż do zabudowań. W razie ucieczki lub odłączenia się kogoś od grupy wyprawy mogłaby mieć tragiczne zakończenie. Mam wrażenie, że wypadki zagryzienia ludzi przez wilki miały taki właśnie przebieg. Dla dzieci wilk może być rzeczywiście niebezpieczny, a to ze względu na ich mały wzrost.

Dużo chodziłem i chodzę po zamieszkałych przez wilki lasach karpaccich, nieraz mój pies dawał znać o bliskości wilków, ale nigdy nie doznawałem żadnych przykrości z ich strony.

ANDRZEJ ŁASZCZYŃSKI

CO MAMY WŁAŚCIWIE ROBIĆ?

P. BURCHARD — J. GRZYBOWSKI

Trzecia rozmowa

— *Wątpię bardzo — powiedział Przyjaciół — czy wielu krajoznawców potrafiloby szybko odpowiedzieć na to pytanie. Nie tyle bowiem jalość sporu o definicję, co właśnie brak nowoczesnego programu stanowi o kryzysie naszego krajoznawstwa.*

— *Słusznie. Zresztą poprawna naukowo definicja jest na ogół aktualna niezależnie od zmian politycznych i społecznych i wystarcza na dłuższy okres czasu. Treść działania, jego zabarwienie — zmieniają się. Używając przenośni „pałac” oznacza zawsze budowlę monumentalną, niezależnie od tego czy zajmuje go kapitalista czy przedszkole...*

— *Mówmy o rzeczy.*

— *Dobrze. Przełożywszy definicję Patkowskiego (przypominamy: „Długa rozmowa”, Ziemia nr 6/57, czerwiec) na język współcześnie praktyczny otrzymamy następujące zadania:*

krajoznawcze wycieczki, poznawcze wędrownictwo itp.; o tym szkoda i gadać, bowiem na przekór rozdzieraczom szat krajoznawczych ta strona działalności rozwija się nad podziw dobrze i „masowo”.

współpraca ze służbą konserwatorską w ochronie zabytków. Dobrze z tym nie jest. Pisała o tym H. Pieńkowska w poprzednim numerze.

odczyty, broszury, pogadanki itp. formy popularyzacji; tu trzeba uważać. Jeśli np. w roku 1913 PTK było bodaj jednym z pionierów odczytów dla ludu ilustrowanych „latarnią czarnoksiężską” to dziś popularyzacją wiedzy o kraju zajmuje się szereg dobrze finansowanych instytucji, a geografii Polski uczy się w szkołach. Naszej akcji amatorskiej grozi więc nuda, pusta sala i drętwą mowa. Popularyzacja wymaga unowocześnienia środków (film) i rozsądku w doborze tematyki, a także prelegentów czy autorów. Nie dublować roboty innych! W dziedzinie wydawniczej położyć nacisk na czasopisma (centralne i prowincjonalne) i współpracować z przedsiębiorstwami wydawniczymi. Popierać racjonalną inicjatywę wydawniczą Oddziałów. Podpierać kulturalny kolportaż czasopism i książek. Coś w końcu trzeba zrobić z pocztówkami. Powinny być ładne, zróżnicowane tematycznie i wszędzie do dostania...

badania naukowe; komisje fizjograficzne PTK i PTK były przed 50 i więcej laty inicjatorami poważnych badań naukowych. Ale bo i wtedy nauka polska miała środki szczupłe a wiele



Zeby nie cofać się wstecz
i nocą nie błądzić polem
Przyniósł nam ktoś piękną rzecz:
Busolę...

(Antoni Stoniński)

on — nie można było ustalić kierunku nawigacyjnego przy pomocy słońca lub gwiazdy polarnej, wtedy brano naczynie z wodą, stawiano je na środku okrętu w miejscu osłoniętym od wiatru i puszczano na nie dwa na krzyż zbite drewnianki, na których umocowywano igłę magnesową. Następnie zataczano nad igłą kilka kół kawalkiem magnetytu, po czym rękę szybko odsuwano. Krzyżyk z igłą po kilku obrotach uspokajał się i magneska ustawiała się w kierunku południka magnetycznego.

Marynarze europejscy XIII wieku nieufnie jeszcze patrzyli na ten nowy wynalazek, jak to wynika z relacji Brunetto Latini, nauczyciela Dantego: „Zaden pilot nie odważy się brać busoli z obawy, aby go nie posądzono o czary. Załoga również będzie obawiała się wyjechać na morze, o ile na statku znajduje się instrument, który wygląda jak gdyby był wynaleziony przez duchy piekielne”.

W ciągu wieku XIII mamy już w literaturze zachodnio-europejskiej wiele opisów magnesu i jego zastosowania do busoli. Jedną z najciekawszych informacji jest praca uczonego francuskiego Piotra de Maricourt z r. 1269, gdzie opisuje on magneskę umieszczoną w puszcze ze szklanym wieczkiem i osadzoną na osi pionowej. Pod nią — na dnie puszek — umieszczone jest koło podzielone na cztery ćwiartki, po 90° każda, dla dokładniejszego określania stron świata.

W końcu ubiegłego stulecia niektórzy z włoskich uczonych uważali za konstruktora busoli niejakiego Flavio di Gioja, żeglarza z Amalfi, który miał jakoby dokonać tego wynalazku w r. 1305. Ciekawe, że w r. 1901 miał być w Amalfi wystawiony nawet pomnik Gioja jako wynalazcy udoskonalonej busoli i dopiero dwaj uczeni — Włoch Bertelli i Niemiec Ruge — rozwiali ten mit.

A więc Piotr de Maricourt jeżeli nie był nawet wynalazcą, to był autorem pierwszego opisu busoli, której konstrukcja w ogólnych zarysach przetrwała aż do naszych czasów.

Żeglarze włoscy nadawali temu przyrządowi najrozmaitsze nazwy, a więc: magnett, manette, marinere, quadrante (od podziału na cztery strony świata). Następnie — w miarę udoskonalenia — przybierał on nazwę od gatunku drzewa użytego na puszkę, w której umieszczona była magneska, a więc: pixis, pixedula (cis), bussolo (bukszpan). Wre-

szcie obdarzano go nazwą — compassus lub compasso, co w wickach średnich oznaczało cyrkiel do wymierzania odległości na mapach. Ostatecznie przyjęły się do dziś dnia dwie z nich: kompas i busola, które są synonimami.

Z czasem zaobserwowano, że wskazania igły magnesowej nie dają dokładnie kierunków północy i południa, czyli — jak byśmy dziś powiedzieli — południk magnetyczny nie pokrywa się z południkiem geograficznym, lecz tworzy z nim pewien kąt, zwany zboczeniem magnetycznym albo deklinacją.

Dokładnie nie wiadomo kiedy po raz pierwszy zaobserwowano mylnie wskazania magneski. Chińczycy wiedzieli o tym już w początku IX stulecia. Europejczycy zaś poznali zjawisko zboczenia magnetycznego bodajże dopiero w wieku XV, jak to dało się stwierdzić na starych busolach. W Innsbrucku na przykład znajduje się w muzeum busola z r. 1451, na której pokazana jest wschodnia linia deklinacyjna. Istnieją pewne dane, że Kolumb wiedział już o deklinacji magnetycznej jeszcze przed pierwszą swoją wyprawą odkrywczą, odbytą w r. 1492.

Pierwszą polską publikacją o deklinacji magnetycznej była rozprawa wydana około r. 1636 przez naszego znakomitego matematyka, astronoma i geodetę — Jana Brożka profesora i rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego pt. *Księdza Jana Brosciusa przydodatek pierwszy do Geometrii Polskiej Stanisława Grzepskiego*.

Już w pierwszym zdaniu Brożek ostrzega, że „Miara kompasem morskim magnesowym nie warowna (tzn. niepewna), bo magnesowa strzałka nie jednako na różnych miejscach pokazuje”.

Poza tym — jak wiadomo — magneska pochyła się na naszej półkuli północnym końcem ku dołowi, a na południowej — południowym, czyli jej uś magnetyczna ustawia się względem poziomu pod kątem zwanym nachyleniem magnetycznym albo inklinacją. Fakt ten został zaobserwowany prawdopodobnie dopiero w wieku XVI. Jeden z uczonych niemieckich — Georg Hartmann opisał to zjawisko w r. 1544 księciu Albrechtowi Pruskiemu. Przez dłuższy czas za siłę przyciągającą igłę magnesową uważano gwiazdę polarną, a uczonego francuski z XIV wieku Henryka Pasquier nazywa nawet magneskę *étoile polaire*. Dopiero w po-

lowie XVI w. uczonego włoski Girolamo Frascatore wypowiada pogląd, że siła kierująca igłą magnesową znajduje się w samej Ziemi przyjmując przy tym, iż Ziemia posiada tylko jeden — północny biegun magnetyczny, a w końcu tegoż wieku inny Włoch (Livio Sannuto) dowodzi wreszcie, że Ziemia — oprócz północnego — posiada jeszcze biegun magnetyczny południowy.

Podwaliną powstającej nauki o magnetyzmie ziemskim stało się dopiero wydane w r. 1600 sześciotomowe dzieło Williama Gilberta, lekarza królowej angielskiej Elżbiety, pt. *De magnetice tellure nova physiologia, czyli O magnesie i ciałach magnetycznych, a także o wielkim magnesie ziemskim*.

Gilbert przede wszystkim przeprowadza tezę, że Ziemia sama przez się jest gigantycznym magnesem. Następnie ustanawia prawo, że jednakowe bieguny wzajemnie się odpychają, a różnoimiennie — przyciągają; omawia zjawiska deklinacji i inklinacji magnetycznej; udziela wskazówek żeglarzom, jak posługiwać się busolą okrętową i wreszcie w ostatniej księdze deklaruje się jako zwolennik systemu Kopernika.

Jak rewelacyjne były te odkrycia świadczy opinia Galileusza: „Nieźmiernie cenię i zazdroszczę temu, u którego mogło powstać tak cudowna myśl”...

Równocześnie nastąpił dalszy rozwój instrumentoznawstwa busolowego. Busola stała się narzędziem niezbędnym — i jest nim do dziś dnia — nie tylko dla żeglugi morskiej i powietrznej, lecz również i do pomiarów lądowych zarówno naziemnych jak i podziemnych (w kopalniach i grotach). Najbardziej się udoskonalila busola do pomiarów terenowych. Współczesny teodolit-busola z lunetą i dokładnością odczytu kąta do jednej minuty w niczym już nie przypomina swej poprzedniczki sprzed 700 laty, opisanej przez Piotra de Maricourt. Ale w nowoczesnej busoli okrętowej magneska tak samo pływa w cieczy jak u żeglarzy arabskich w zamierzchłym średniowieczu.

Zmieniają się kształty zewnętrzne, lecz istota kompasu pozostaje wciąż ta sama — stara jak świat.

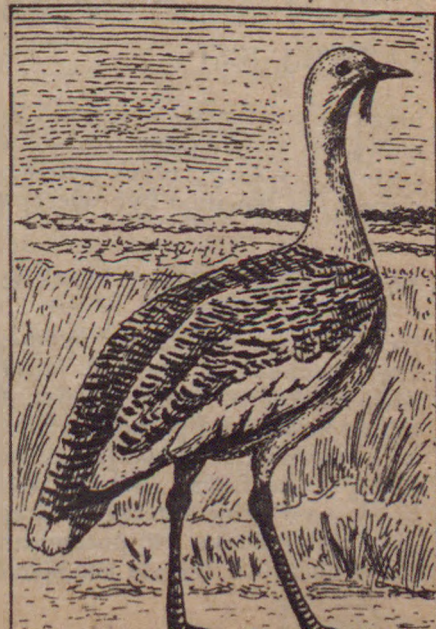
Najłatwiej zaobserwować go przez lornetkę. Z bliska trudno go podejść. Bystry wzrok i słuch w porę ostrzegają go przed zbliżającym się intruzem. W lęku przed zasadzką unika zarośli, a spłoszony potrafi lecieć szybko i lekko. Niechętnie jednak posługuje się skrzydłami. Woli raczej wędrować na swych długich nogach, przebywając nieraz znaczne odległości. Wzrostem przewyższa indyka, wagą sięga 18 kg a rozpiętość jego skrzydeł dochodzi do 220 cm.

Głos wydaje cichy, o brzmieniu przypominającym stłumiony zgrzyt, ale w lutym, w okresie godów samce toczą głosem podobnym do gruchania gołębi. Można je wtedy dostrzec jak walczą ze sobą w powietrzu. Gniazdo dropia to niewielkie zagłębienie w ziemi, zarzucone gałązkami i źdźbłami traw. Samica składa tu 2 do 3 jaj. W dwa miesiące po wylęgu pisklęta dropia już są upierzone. Młode osobniki tego tak bardzo płochliwego ptaka można jednak oswoić. Odnoszą się z zaufaniem do hodowcy, lecz doznana krzywdę pamiętają podobno długo.

Mimo iż niektórzy nazywają dropia „europejskim strusiem“ najczęściej gatunków tego ptaka żyje w Afryce. Dość często można go spotkać również w środkowej Azji. W Europie zamieszkuje on dziś poza Polską rozległe niziny Węgier, Rumunii i południe Związku Radzieckiego. U nas drop gnieździł się w swoim czasie na Pomorzu, Kujawach, Lubelszczyźnie i południowo-wschodnim Śląsku. Obecnie spotykamy dropie w województwach szczecińskim i zielonogórskim a największe jego skupisko (podobno około 80 sztuk) istnieje w Poznańskim. Dlaczego właśnie w Wielkopolsce spotykamy dziś najczęściej przedstawicieli tego stepowego ptaka? Pozostaje to w ścisłym związku ze zjawiskiem „stepowienia“ tych od wieków rolniczych obszarów — o czym czytaliśmy w poprzednim numerze „Ziemi“. Uprawne bezleśne równiny wielkopolskie odpowiadają dropiom nawet w zimie. Najwięcej ich żyje w powiecie gostyńskim, nowotomyskim i kościańskim. Pożywienia dostarczają tu ptakom pola zbóż i rzepaku.

Drop znajduje się pod ścisłą ochroną. Nie można więc dopuścić, aby spotkał go na tym obszarze los dropi z Lubelszczyzny i Białostockiego. Po ostatniej wojnie zostały one w tych okolicach całkowicie wytępione.

Adam Dytkiewicz





PRZED WYCIECZKA

na tydzień trzeba zawiadomić gubernatorów tych miejscowości, przez które ułożono marszrutę, wymieniając jednocześnie powiaty, przez które nam droga wypada. Posiadać też trzeba wszelkie legitymacje osobiste oraz legitymację ogólną od Zarządu T-wa Krajoznawczego, o ile z jego ramienia wycieczkę urządzamy.



NA WYCIECZKĘ

potrzeba zabrać następujące rzeczy: torbę wycieczkową, najlepiej z płótna nieprzemakalnego, bieliznę i skarpetki na zmianę, chusteczki do nosa, odzież możliwie lekka, pelerynę lub inne okrycie, które przydadzą się zawsze, mydło, proszek i szczoteczkę do zębów, szczyrtek, sznurek, igłę, szpileczki, nitki, laskę, notes z ołówkiem, pocztówki i marki, woreczek z pieniędzmi, mapkę, kompas, paszport, żywność przygotowaną na parę dni. Aparat fotograficzny zawsze się przyda.



ŁATWIEJ JEST

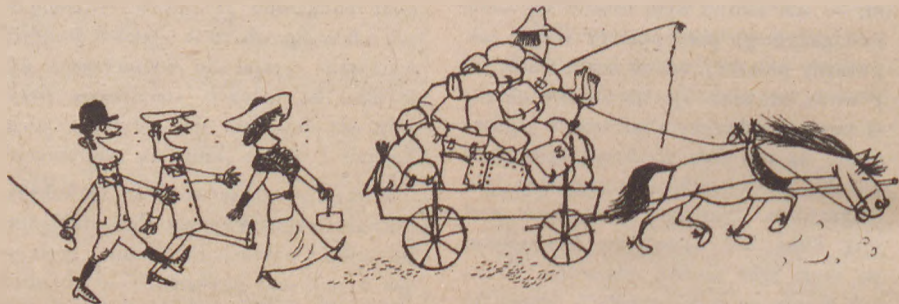
urządzać wycieczki, w których mamy do czynienia z młodzieżą jednolitą, np. z chłopcami, w przeciwnym jednak razie musimy obmyśleć postoje i noclegi, ażeby potem nie mieć zawodu. Uczestników wycieczki nie powinno być więcej niż 100.

DLA UTRZYMANIA PORZĄDKU

na wycieczce wybieramy spomiędzy siebie 1) skarbnika prowadzącego rachunki za żywność, mieszkanie, furmanki, marki itp. 2) kierownika chóru, który urządza śpiewy w wagonie w czasie jazdy lub na postojach i pochodach: śpiew ogromnie uprzyjemnia wycieczki 3) kwatermistrza, szukającego noclegów i postojów w czasie niepogody, 4) szafarza, zdobywającego środki żywności, 5) aptekarza, który ma u siebie apteczkę podręczną i udziela lekarstw według wskazań kierownika i 6) pocztmistrza, który trzyma na składzie marki, karty pocztowe, wysyła korespondencje.

WYCIECZKI

O korzyściach z wycieczki pisano już nieraz, a niejedyn, kto ją odbywał sam się o tem przekonał. Wiemy że wycieczki uczą nas poznawać ziemię ojczystą i wszystko co się na niej znajduje; uczą nas poznawać przyrodę i zbliżają nas do niej, wpływają też na rozwój ciała i ducha, hartują wolę i kształcą charakter... Wycieczki których uczestnicy czekają tylko okazji do zabaw lub gościnnych przyjęć i innych przyjemności są tylko zwykłymi majówkami i nigdy korzyści uczestnikom nie przyniosą.



DOBRCZE JEST

przed wycieczką pieszą zamówić sobie wózek, na który składamy wszystkie pakunki, tłumoczek i cięższe ubranie; wózek taki można godzić na dniówkę, wygodą z tem wielką przy kilkumilowej nieraz wędrowce, a koszt na osób kilkadziesiąt niewielki.



NA WYCIECZCE

powinna panować swoboda, a przy zetknięciu z ludźmi — serdeczność; przy postojach uczestnicy wycieczki powinni dawać dobry przykład w zachowaniu się i, broń Boże, nikogo nie obrażać lub przykrość jakąś sprawiać. Nie wolno wyśmiewać niczyich wad, poglądów, zwyczajów i wierzeń; ukochanie ziemi rodzinnej, ludu i przyrody powinno kierować nami na każdym kroku. Wszyscy też powinni dbać o ład, sprawność wycieczki i porządek... Nie wolno też łamać i psuć roślin i drzew oraz podpisywać się na murach i pomnikach, a tym bardziej wycinać napisy nożem... Kierownik też uczy zawsze, jak mają iść, co oglądać, jak wchodzić do miasteczka, wsi, dworu lub plebanii, kiedy iść trzeba w ciszy, a kiedy można zaśpiewać.

DLA KRAJOZNAWSTWA, książeczka z rysunkami dla ludu i młodzieży

oto źródło, z którego zaczerpnęliśmy powyższe wskazówki. Książeczkę wydano w Warszawie nakładem Redakcji Drużyny w r. 1913, autorami są tam Chęćcik i Ludwik Szczucki. Tamże, w rozdziale zatytułowanym „Polskie Towarzystwo Krajoznawcze“ czytamy: Wycieczki organizowane przez Zarząd T-wa rozwijają się z każdym rokiem. I tak, gdy w r. 1907 wycieczek po kraju odbyło się tylko 3 przy udziale 659 członków, to... w r. 1909 wycieczek było 48 z udziałem 4136 uczestników, w roku zaś 1912 wycieczek było 146 z udziałem 6938 wycieczkowiczów. Od początku zaś założenia T-wa do końca roku 1912 w wycieczkach brało udział 24800 osób.

Jest to już ogromny krok naprzód w pracy T-wa, które dzięki wycieczkom setki młodzieży pchnęło i zbliżyło do przyrody, nauczyło ją czcić i szanować ziemię naszą i to, co się na niej znajduje. Dla wycieczek wędrujących na południe Królestwa, pod Łysicą w gub. kieleckiej urządzono schronisko, czyli jakby zajazd, gdzie wycieczkowicze mogą tanio przenocować i wypocząć.

CÓ MAMY WŁAŚCIWIE ROBIĆ

DOKOŃCZENIE

joznowcami? A czy Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodnich nie głosi w swym programie hasła, które w pracy krajoznawczej PTTK powinny być znaleźć silniejszy oddźwięk? Wymyka się nam raz po raz z rąk to co interesuje żywą i ewolucyjną myśl społeczną.

sprawy krajoznawstwa wśród młodzieży. Oczywiście praca młodzieży zawiera te same elementy programu, co dorosłych. Jednak straty Towarzystwa na tym polu są chyba najbardziej dotkliwe. Może m. i. dlatego, że młodzież szybko orientowała się w pustce i jałowości programu, a raczej w jego braku i równie szybko dawała drapak. Pracę z młodzieżą położono u nas najdokumentniej. Kola krajoznawcze młodzieży, duma przedwojennego PTK, odrodziły się ale — gdzie indziej. Tam poszło też wielu działaczy i instruktorów. Jeżeli już w tej chwili nie możemy przyciągnąć samej młodzieży, to nie tracimy przynajmniej łączności z kierownikami tej pracy — nauczycielstwem i starszą harcerską.

— Zbyt dużo — powiedział Przyjaciel — na raz. Przynajmniej dla mnie. Mam nadzieję, że pogadamy jeszcze o tym w szerszym gronie na Walnym Zjeździe PTTK w listopadzie.

— Najchętniej. Nie wiemy jednak czy spośród tego „szerszego grona“ zbyt wielu delegatów będzie się interesować różnymi aspektami krajoznawstwa poza „krajoznawczą turystyką“, naprawdę — jak już zaznaczyliśmy — w tej chwili u nas popularną. Nie czekając na zjazd w następnej rozmowie musimy się zająć sprawą krajoznawców rzeczywiście pracujących w naszym Towarzystwie. Wydaje się nam, że niestety w 150 tysiącach członków PTTK ilość ich nie jest zbyt wielka.

— Może. Tym niemniej rolę odgrywa tu nie tylko ilość, ale przede wszystkim „ciężar gatunkowy“.

— Trzeba by więc pomyśleć o terenowych odpowiednikach owego wspomnianego Instytutu Arczyńskiego w okręgach (o ile się utrzymają po Zjeździe) w oddziałach itp. Gdzieś ci najaktywniejsi i pełni inicjatywy krajoznawcy powinni się zbierać, radzić, obmyślać itp. Niepotrzebne są oczywiście sztywne formy jakichś komisji. Dochodzą nas słuchy, że wiele dotychczasowych Komisji Krajoznawczych — to ciała drętwe i sztuczne. Czy więc to będą „kluby“ (nazwa niezbyt atrakcyjna) czy inaczej się będą zwać — są chyba potrzebne. Niektóre oddziały (np. częstochowski) urządzały różne piątki, czwartki czy też środy krajoznawcze, dyskusje itp. Piszcie więc do nas jakie to dało wyniki i co o tym myślicie. Oczywiście rolę ognisk inicjujących poważną działalność badawczo-zbieracką mogłyby odgrywać regionalne muzea PTTK, kontynuacja dawnych muzeów krajoznawczych PTK.

Pozostaje jeszcze oczywiście sprawa dalszego rozwoju krajoznawczych poczynań. Nie można by tutaj stosować ani mechanicznego klucza rozdziału funduszy, ani też pozostawiać tej sprawy wyłącznie w rękach urzędników administracyjnych. Musi decydować pożyteczność akcji i szansa jej powodzenia, oraz zasada: jak najwięcej pracy społecznej, a środki finansowe wprost do działających ogniw terenowych.



MŁYN WODNY W KORBIELOWIE



W roku 1953 popadł w ruinę opuszczony i nie użytkowany od dłuższego czasu drewniany młyn wodny w Korbielowie Górnym (pow. Żywiec). Obiekt prawdopodobnie nie był ani znany, ani opracowany przez zainteresowanych fachowców. Władze konserwatorskie, zbyt późno zaalarmowane przez Muzeum Ziemi Żywieckiej — zastały obiekt w stanie daleko posuniętego zniszczenia i w trakcie rozbiórki. Z uwagi na to, że zapewne nie będzie już sposobności opublikowania na innym miejscu nie istniejącego zabytku przemysłowego, zamieszczamy jego fotografię i krótką charakterystykę.

Młyn znajdował się poniżej drogi wiodącej ku granicy czeskosłowackiej pod Pilskiem, w dolinie potoku „Korbielowskiego“. Budynek usytuowany był wzdłuż rzeki, której wody nie poruszały zresztą koła, uruchamianego wartkim prądem bocznego potoku o dużym spadku. Budynek był niewielki, prostokątny, drewniany, konstrukcji zrębowej, wzniesiony z grubych belek na podmurowaniu z dzikiego kamienia. Obok pomieszczenia na urządzenia młyńskie znajdowała się niewielka izba mieszkalna. Całość nakrywał wysoki dach przyczółkowy, kryty gontem, charakterystyczny dla regionu żywiec-

kiego. Czas budowy młyna niewiadomy, miejscowi określali go jednak na około 100 lat.

Z punktu widzenia techniki młyn był interesującym zabytkiem, posiadał bowiem prymitywny mechanizm z żarnami. Koło wodne nasiębierne, osadzone na potężnym ośmiobocznym wale, poruszane było wodą doprowadzaną prymitywną rynną, wyzłobioną w pniu drzewa.

Opisany młyn w Korbielowie nie był jedynym obiektem tego rodzaju w tej miejscowości, pozostałe młyny zniknęły jednak jeszcze wcześniej.

(mk)

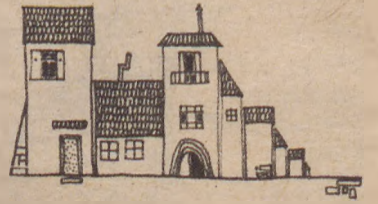
JUBILEUSZOWA IMPREZA

W roku bieżącym wypadła pięćdziesiąta rocznica pierwszej zbiorowej wycieczki Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, która odbyła się w czerwcu 1907 roku. Dla upamiętnienia tego faktu Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze urządziło wycieczkę na tej samej trasie — z Warszawy do Kampinosu. W imprezie jubileuszowej wzięli udział także uczestnicy owej pierwszej wycieczki PTK — Bolesław Osiecki i Józef Kołodziejczyk. Na zdjęciu: grupa zasłużonych działaczy b. Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Siedzą od lewej A. Ojrzyński, M. Orłowicz, B. Osiecki i J. Kołodziejczyk. Fot. Antoni Szemplowicz.



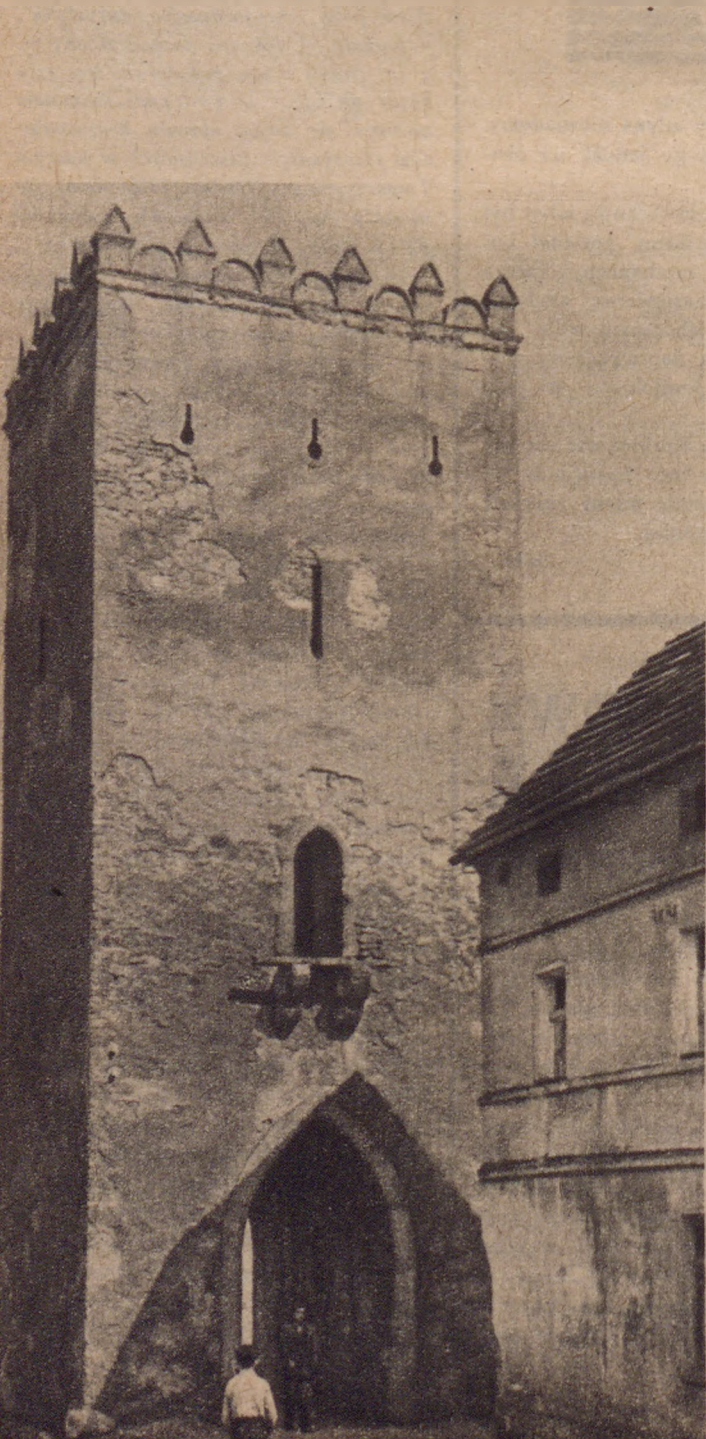


Z lewej: panorama Otmuchowa. Fot. T. Chrzanowski. Z prawej: otoczona rusztowaniem wieża znajdującego się w odbudowie ratusza otmuchowskiego. Fot. W. Plewiński.



Na sąsiedniej stronie u dołu: otmuchowski ratusz przed odnowieniem. O wmontowanym w ścianę tego ratusza zegarze słonecznym z roku 1575 pisała ZIEMIA w grudniowym numerze z ubiegłego roku. Fot. T. Chrzanowski.

O T M U C H Ó W C Z E K A



Z lewej: zwieńczona renesansową atyką brama obronna, pozostałość średniowiecznych fortyfikacji miejskich Otmuchowa. Fot. W. Plewiński

Poniżej: sztuczny zbiornik wodny — Otmuchowskie Jezioro — świetnie nadawałby się do uprawiania sportów wodnych na wielką skalę. Fot. M. Kornecki.





zbiornik wodny, nadający się do uprawiania sportów wodnych na wielką skalę.

Na jeziorze ani jednego żagla, ani jednej „łajby“. Na drogach plecaków nie uświadczysz. Pies z kulawą nogą tu nie zagląda. A można by tu założyć ośrodek sportowo-turystyczny „na wielki kamień“ gniazdo dla łazików najróżniejszego autoramentu, punkt zborny mianiaków od wiosła i żagla.

Gdzie? Przecież miasteczko jest mikroskopijne, a tych kilkanaście pustych domów sprawy nie załatwia?

Otóż cały dowcip w tym, że jest gdzie. W samym Otmuchowie sterczy na szczycie wysokiego wzgórza zamek. Postawiony ponoć w 1190 roku, wielokrotnie przebudowywany i poszerzany, z wnętrzami odartymi nie tylko z dawnej świetności, ale i z wielu cech zażytkowości — imponuje do dziś forteczną wyniosłością murów i potężną

basztą; poszukiwaczom oryginalności można ponadto polecić dziedziniec zamkowy, gdzie rosną jakieś egzotyczne drzewa o wyglądzie zupełnie surrealistycznym.

Gmaszysko wisi na swych prawnych użytkownikach — miejscowym PGR — jak ojcowa peleryna na młodszym bracie. Jest w 80% niewykorzystany i praktycznie pusty. I chyba na nic innego nie nadaje się bardziej, jak — wspomniawszy wymienione uprzednio warunki terenowe — właśnie na hotel dla łazików, czy ośrodek sportowo-turystyczny.

Dlaczego dotąd nikt na mapę nie spojrzal i nie obejrzał Otmuchowa pod kątem jego możliwości turystycznych i sportowych — nie wiem. Może działały tu jakieś wyższe racje, a może po prostu ludzie zanedo przywykli do znacznych i uznanych baz.

Tak czy inaczej

O T M U C H Ó W C Z E K A

Otmuchów zasługuje na trzykrotne opatrzenie przysłówkiem „bardzo“; jest mianowicie bardzo stary, bardzo piękny i bardzo... niewykorzystany. Stary — bo gród kasztelański „Otmuchow“ wymienia już bulla papieska z 1155 roku, a miejskie prawo magdeburskie otrzymała osada także dość wcześnie, bo w 1347 za sprawą biskupa wrocławskiego **P r z e c ł a w a**.

Piękny i ciekawy, bo... obejrzyjcie choćby parę zaprezentowanych fotografii. Znajdzie się tu i pozostałość kompleksu obronnego — czworoboczna brama miejska przeparta u dołu ciasnym ostrołukiem przejścia, a zwieńczona kunsztowną koronką renesansowej attyki. Znajdzie się jeden z najokazalszych na Śląsku kościołów barokowych, dwuwieżowa kolegiata z 1701 roku. I ratusz z zieloną banią helmu na wieży. I jeszcze domy — poważne kilkusetletnim wątkiem murów, trochę śmieszne swoim „kieszonkowym formatem“. Znajdzie się także sporo efektów malarskich, o każdej porze świtu, dnia i wieczoru wygrywanych odmiennie na załomach ciasnych uliczek i giętych szczytach domów.

Wiele, może za wiele tu spokoju. Nie wiem, czy w Otmuchowie mieszka w sumie więcej, niż dwa tysiące obywateli. Są domy stojące pustką, a na rynku samochód jest sensacją. Wita go zawsze rozgłośnia radość gromady dzieciaków — i równie otwarcie wyrażana dezaprobatą kolorowego koguta; ten urzęduje nicodmiennie właśnie na rynku i nie bardzo chce ustępować z drogi.

Za tym śpiącym i trochę nierzeczywistym miasteczkiem tkwi spory szmat historii razem z całą jej powagą: zamierchle spory i walki śląskich książąt piastowskich, najazd tatarski z 1241 i zwycięski szturm husytów z 1424 zakończony zniszczeniem miasta; budowa umocnień miejskich z kiesy rezydującej podówczas także i w Pradze dynastii jagiellońskiej, na koniec uparta i długo bezskuteczna akcja wojującej niemczyzny. Toć przecie już w 1495 niemiecki biskup wrocławski Jan Roth, naówczas właściciel miasta — groził wysiedleniem z biskupich włości nieznanym językiem niemieckiego chłopom i mieszczaństwu. A jeszcze w XIX wieku, gdy Otmuchów przywłaszczyła sobie familia Hohenzollernów — mówiono tu po polsku i znaleźć można było stareńkie kancjonały po polsku kiedyś drukowane w śląskim Brzegu. Dziś karta się obróciła.

I wreszcie — Otmuchów niewykorzystany. Do czego i dlaczego?

Spójrzmy na mapę:

Gęsta sieć doskonale utrzymanych dróg łączy Otmuchów poprzez Nysę z Glucholazami i Prudnikiem, z Opolem i Grodkowem; poprzez Paczków z Kłodzkiem, Polanicą, Dusznikami i Kudową. I ze setką innych miejscowości wyróżniających się tym tylko, że dotąd nie zostały „odkryte“.

Raj dla turystycznych włóczęgów, dla amatorów pejzażu i pięknych miast. Nie tylko dla nich: tuż pod bokiem, o parę kilometrów od miasta rozpościera się olbrzymie jezioro otmuchowskie — jedyny bodaj w tej polaci Śląska



SĄD

OSTATECZNY

TRYPTYK „SĄD OSTATECZNY“ — WYBITNE DZIEŁO FLAMANDZKIEGO MALARZA J. MEMLINGA — ZOSTAŁ WYKONANY NA ZAMÓWIENIE BOGATEGO KUPCA. MIAŁ BYĆ DAREM WOTYWNYM OFIAROWANYM JEDNEMU Z KOŚCIOŁÓW FLORENCJI. JEDNAK NA STATEK WIOZĄCY OBRAZ DO WŁOCH NAPADLI W KANALE LA MANCHE GDAŃSCY KORSARZE. W TEN SPOSÓB TRYPTYK ZAWĘDROWAŁ DO GDAŃSKA I OZDOBIŁ TAM OLTARZ W KATEDRZE NM. PANNY JAKO JEDNA Z GŁÓWNYCH OSOBLIWOŚCI MIASTA. ZASŁYNAŁ W CAŁEJ EUROPIE I STAŁ SIĘ PRZEDMIOTEM ZAZDROŚCI NAJWYBITNIEJSZYCH KOLEKCJONERÓW.

Wielu ukoronowanych miłośników sztuki ubiegało się o nabycie tego cennego obrazu. Elektor saski ofiarowywał Gdańskowi 20000 talarów za tryptyk Memlinga, sądząc zapewne, że radę miejską olśni tak olbrzymią sumą. Gdańszczanie w ogóle nie udzielili mu odpowiedzi. Wielki zbieracz obrazów Tycjana i innych dzieł sztuki, cesarz niemiecki Rudolf II Habsburg dawał gdanszczanom za ich tryptyk lekką ręką 40000 złotych guldenów, chociaż znany był z tego, że miał węza w kieszeni. Senat gdański odrzucił i jego ofertę w sposób grzeczny lecz bardzo stanowczy. „Sąd Ostateczny“ był bowiem nie tylko wspaniałą ozdobą świątyni lecz również z posiadaniem jego wiązała się wiara w szczęście i powodzenie Gdańska. Utrata tryptyku miałaby przynieść miastu katastrofę.

Toteż gdanszczanie równie stanowczo przeciwstawili się usiłowaniom cara rosyjskiego Piotra Wielkiego zmierzającym do wywiezienia tryptyku z Gdańska do Petersburga. Car przybył tu z wiosną 1716 r. w czasie wojny północnej ze Szwecją i zamieszkał w gospodzie zwanej „Gansgrug“. Z właściciwą mu żądzą poznania wszystkiego, polecił pokazać sobie osobliwości miasta, wśród nich naturalnie także słynne malowidło Memlinga. Jednakże w niedługi czas potem doszło między senatem gdańskim a Rosjanami do różnicy zdań i ostrego zatargu na tle politycznym i militarnym. Goście bowiem nie zwracając uwagi na protesty gospodarzy zapragnęli dokładnie poznać wszystkie fortyfikacje gdańskie. Car opuścił nieoczekiwanie miasto dnia 1 maja 1716 r. pozostawiając manifest, w którym ogłosił Gdańsk swym nieprzyjacielem i sojusznikiem wroga Szwecji. Jego marszałek polny, Książ Szeremet pod groźbą natychmiastowego rozpoczęcia działań wojennych wymusił na nie-

przygotowanej do wojny radzie różne milczące ustępstwa. W następstwie tego również sam Piotr Wielki przyrzekł jak najsolennie, że odtąd nie wysunie już żadnych więcej roszczeń i żądań pod adresem miasta. Kiedy senat gdański cieszył się, że udało mu się odwrócić groźące miastu niebezpieczeństwo, zaskoczył go nagle rosyjski kanclerz, książę Dolgorukij „propozycją“, utrzymaną w dość energicznym tonie, aby z uwagi na szczęśliwy koniec ostatnich zatargów „gratyfikować Jego Carską Mość obrazem „Sądu Ostatecznego“, ponieważ Jego Carska Mość ma szczególnie wysokie upodobanie do tego malowidła, znajdującego się w tutejszym kościele parafialnym“. Rada miejska odpowiedziała natychmiast odmownie, powołując się przy tym na wiele ofiar poniesionych już dotąd przez miasto Gdańsk dla Rosji. Wkrótce jednak wpłynęło do rady gdańskiej nowe pismo od księcia Dolgorukiego. Kanclerz rosyjski próbował w nim wmówić gdanszczanom, że będzie to jedynie z korzyścią dla miasta, jeśli się pozbędzie tego obrazu, gdyż według surowych zasad religii ewangelickiej w zborach i kościołach ewangelickich nie powinno być obrazów, a poza tym przez podarowanie tryptyku Gdańsk pozyskałby na zawsze życzliwość i przychyłność cara. Oburzeni radni odpisali carskiemu dyplomacie w sposób zwięzły lecz niedwuznaczny, że obraz „równej starożytności, który już od 300 lat kościół ten ma podarowany i spokojnie posiada, nie może być nigdy sprzedanym ani też darowanym“.

Wtedy pozostał jeszcze tryptyk Memlinga w Gdańsku. Ale w niecałe sto lat później, w tydzień po zdobyciu Gdańska przez Napoleona w maju 1807 r. dyrektor Musée Napoleon w Paryżu, niejaki monsieur Denon, który miał za zadanie wszędzie w podbitych krajach wyszukiwać cenne dzieła sztuki

i wywozić je natychmiast do Francji, wyszedł — pomimo podjętych przez gdanszczan środków ostrożności — miejsce ukrycia tryptyku. Zaraz też nadszedł do rady gdańskiej rozkaz cesarza z dołączonym do niego w nadzwyczaj ostrym i brutalnym tonie utrzymanym zarządzeniem generała Rappa, komendanta francuskiego garnizonu w Gdańsku, w sprawie natychmiastowego wydania Denonowi gdańskiego tryptyku. Bezbronna rada musiała wydać tak długo dotąd chroniony oltarz i „Sąd Ostateczny“ rozpoczął podróż do stolicy Francji, gdzie — jak o tym ze smutkiem dowiedziano się w Gdańsku — umieszczono go w słynnym Luwrze. Budził tam zrozumiałą sensację i podziw.

Jednak w Gdańsku nie pogodzono się nigdy z tym aktem gwałtu i nie wyrzeczono się roszczeń. Kiedy tylko przyszła wiadomość o zajęciu Paryża przez armie Koalicji w dniu 31 maja 1814 r., rada miejska w Gdańsku skierowała na ręce pruskiego kanclerza Hardenberga memorial z prośbą o interwencję w sprawie tryptyku. Wówczas jednak życzenie gdanszczan nie zostało jeszcze spełnione. Gdy po Stuchkach Napoleona sprzymierzeni po raz drugi wkroczyli do Paryża w lipcu 1815 r., rząd pruski polecił feldmarszałkowi Blücherowi rewindykować zagrabione przez Francuzów na terenie Prus i Rzeszy dzieła sztuki, w tej liczbie także gdański tryptyk. Blücher znany był z tego, że nie lubił czas pochłaniających korowodów. Z miejsca wydał rozkaz ażeby oficer-wolontariusz, profesor von Groot z Kolonii, odszukał i odebrał Francuzom wywiezione dzieła sztuki, z tym, że w razie potrzeby może użyć siły zbrojnej. Groot pomaszzerował przed Luwr paryski na czele batalionu pruskiej obrony krajowej i to wystarczyło, by zarząd Luwru bez żadnego oporu wydał mu zarówno „Sąd

Ostateczny“ Memlinga, jak i inne zagrabione w Niemczech dzieła sztuki. Tryptyku jednak nie zwrócono Gdańskowi lecz przewieziono go z Paryża do Berlina.

Dla Gdańska wyrósł teraz nieoczekiwany nowy rywal — stolica Prus. Berlin nie zamierzał bynajmniej zwrócić obrazu prawowitemu właścicielowi. Ponieważ jednak Gdańsk ostro obstawał przy swym prawie i domagał się energicznie zwrotu, między obu miastami powstał przewlekły spór, w który berlińczycy starali się wciągnąć króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III. Z jego polecenia jednak tryptyk został przekazany gdanszczanom w dniu 16 grudnia 1816. W miesiąc później święcono w Gdańsku powrót obrazu specjalnym solennym nabożeństwem. Do zwycięskiej walki z Berlinem odnosi się niemiecki wiersz umieszczony wtedy pod obrazem: *Als das ew'ge Gericht des Kleinods Räuber ergriffen. Gab der gerechte Monarch uns das Erkämpfte zurück.*

Odzyskany tryptyk zawisł po dziesięciu latach przerwy na swym dawnym miejscu w kaplicy św. Reinholda i był odtąd wielokrotnie opisywany przez poetów i pisarzy. W tej liczbie także przez pisarkę Joannę Schopenhauer, matkę filozofa Artura Schopenhauera, zacięłą patriotkę gdańską.

Ponieważ ząb czasu nie oszczędził również i tego malowidła, musiano je trzykrotnie odnawiać. Pierwszy raz renowacji obrazu Memlinga dokonał w roku 1718 gdański malarz Krzysztof Kray. Drugi raz odnawiano go w 1815 roku. Po raz trzeci przeprowadzono gruntowną konserwację tryptyku w 1851 r. Dokonali jej wtedy: restaurator królewskich obrazów w Berlinie, Keller i malarz Stübe.

Odnowiony tryptyk stanowił wielką atrakcję artystyczną i turystyczną Gdańska i spokojnie przetrwał na swym



miejsu w kaplicy aż do początku roku 1945. Kiedy w wyniku ofensywy zimowej wojsk radzieckich i polskich linia frontu zaczęła przesuwać się w kierunku Gdańska, władze niemieckie wywoziły z kościoła Panny Marii wiele zabytkowych dzieł sztuki, rozmieszczając je po okolicznych dworach i kościołach. Sporo z nich w toku działań wojennych uległo zniszczeniu. Wtedy to zaginął także tryptyk Memlinga. Podobno Niemcy wywieźli początkowo ten obraz do Kartuz, a następnie w głąb Rzeszy. Po kapitulacji działająca na terenie Niemiec polska komisja rewizyjna na próżno poszukiwała tego arcydzieła. Sądzone, że Niemcy rozmyślnie zniszczyli lub ukryli gdzieś w niedostępnym miejscu ten zabytek i pocieszano się jedynie tym, że w posiadaniu kurii biskupiej w Oliwie znajduje się wierna kopia obrazu. Nielada więc sensację wywołała wiadomość podana przez prasę radziecką i polską, że oryginał „Sądu Ostatecznego” został odnaleziony w r. 1945 przez wojska radzieckie w Turynii i znajduje się w Leningradzkim Ermitażu. Do 12580 dzieł, które miały zostać zwrócone rządowi polskiemu zaliczono również tryptyk Memlinga. Dzieła te przewieziono do Warszawy. „Sąd Ostateczny” został jednak od razu złożony w Muzeum Pomorskim w Gdańsku, gdzie zostanie poddany skrupulatnym badaniom naukowym. Badania będą dotyczyły powstania obrazu, jego historii, a także opracowania właściwych metod konserwacji. Badania fizyczne i mikrochemiczne poprowadzi pracownia badań i dokumentacji technologicznej Muzeum Narodowego w Warszawie. Wszystkie prace przeprowadzone będą w Muzeum Pomorskim. Projektuje się ponadto wydanie osobnej publikacji poświęconej tryptykowi Memlinga.

ZAMKI Z KOGUTKAMI

JANUSZ BOGDANOWSKI

Zawada, Wielącza i Bodaczów — to właściwie jedna długa łańcuchówka przy drodze z Zamościa do Szczep-rzeszyna. Wsie ciągną się nieprzerwanym siedmiokilometrowym pasmem na lekkim stoku pomiędzy drogą a strumieniem.

Droga przez wieś jest szeroka jak trakt. W gorący dzień zakurzona, w słotny tonąca w błocie. Wzdłuż niej — po obu stronach chaty. Wszystkie białe, nakryte wielkimi brogami słomianych dachów. Niemal żywy skansen wiejskiego budownictwa. Nietrudno tu o stare zagrody zbudowane w czworobok. Gorzej natomiast z zielenią. Choć w pobliżu dużo lasów, we wsi drzewo nie owocowe jest rzadkością, czasem tylko rośnie tu jakiś samotnik lub niewielka grupa. Za to przy każdej zagrodzie — sad.

I zewnątrz i wewnątrz chaty są proste. W izbach klepiska, maleńkie okienka i ogromne kominy. Sprzętów niewiele. Stół, ława, łóżka, żółta malowana w kwiaty skrzynia, czasem kredens — to wszystko. Przy tej prostocie



tym większą uwagę zwracają osobliwym kształtem kute zamki. Widziałem je w kilku chatach w Zawdzie w pobliżu kościoła (np nr 89, 92).

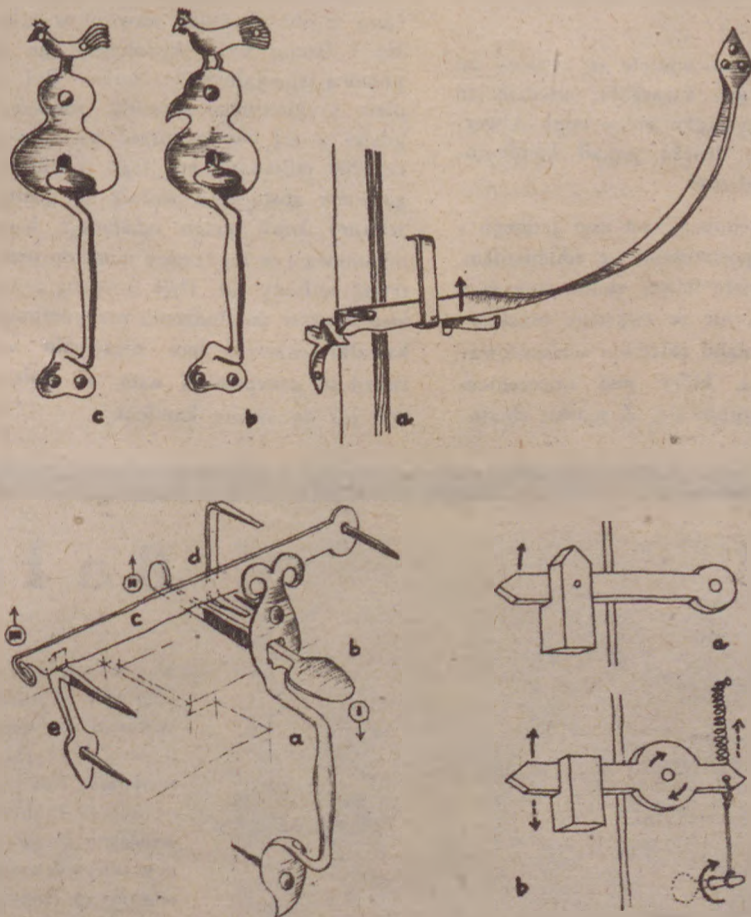
Zamek taki wywodzi W. Pełka (*Drewniane zamki ludowe* — praca zbiorowa) od tzw. „obratków”. Urządzenia tego typu składały się z drewnianej deseczki przybitej obrotowo w połowie długości lub przy jednym końcu do drzwi. Drzwi zamykano opuszczając to ruchome ramię za drewniany hak, zwany „ziabką”. Naturalnie zamek taki można było otworzyć i zamknąć tylko od wewnątrz. Aby usunąć tę niedogodność zaczęto stosować cały szereg dodatkowych elementów, jak sznurki, ruchome rączki, drążki. Zamiana drewna na żelazo i drobne poprawki dały w efekcie popularny zamek zapadkowy. Z czasem okazały się pewne jego niedogodności. Otóż w miarę zużycia, lub wskutek innych przyczyn zapadka nie zachodziła dobrze za hak i drzwi otwierały się same lub otwarcie ich przychodziło z trudnością. Starano się zapobiec temu już w drewnianych „obrat-

kach”. Dowodzi tego zamek ze Stefan-kowa (podany w wyżej cytowanej książce) w którym „obratek” dociśnięty jest przy pomocy sprężyny. W tym samym kierunku zmierza konstrukcja zamka z Zawady-Wielączy.

Zapadka jest tu znacznie dłuższa i wygięta łukowato tworzy sztywno przybitą do drzwi sprężynę. Tym sposobem podtrzymuje ona stale łyżkę. Drzwi w ten sposób zabezpieczone same się nie otworzą, a równocześnie możliwość zacięcia jest znacznie mniejsza. Dodajmy jeszcze, że okucie ozdobione jest kogutkiem, a otrzymamy oryginalną i piękną odmianę, stanowiącą dalsze rozwinięcie ogniwo prostego zapadkowego zamka.

Na koniec pozostaje pytanie: dlaczego ten typ nie rozwinął się szerzej, skoro był doskonalszy? Przypuszczać można, że nastąpiło to dlatego, iż zamek zapadkowy stał się w ogóle przestarzałym i został wyparty przez skobel z kłódką, lub inne proste zamki żelazne.

STANISŁAW WAŁĘGA



Rysunki przedstawiają: schemat konstrukcji (a — „rączka”, b — „łyżka”, c — „zapadka”, d — „kuna”, e — „hak”) i schemat działania (I — naciśnięcie „łyżki”, II — „zapadka” się podnosi, III — zamek się otwiera) zamka zapadkowego; zamki obratkowe — zwykły I ze sprężyną, wewnętrzną stroną zamka zapadkowego z Wielączy

WĄWOZY SKAMIENIAŁYCH DRZEW

WITOLD ŻABIŃSKI

Wiele pięknych, godnych zwiedzenia zakątków ziemi krakowskiej leży na uboczu, zdaleka od głównych szlaków komunikacyjnych. Pełz wśród osób, przybywających po raz pierwszy do Krakowa pociągami od strony Krzeszowic zdaje sobie sprawę z tego jak piękny i niespospolity krajobraz skalistych dolinek podkrakowskich kryje się wśród wzgórz zaledwie o kilka kilometrów od dość monotonnej trasy kolejowej. Albo też, czy jadąc pociągami przez Skawinę do Oświę-

cima skrajem płaskiej doliny Wisły pamiętamy o tym, że o 5 kilometrów na południe od przystanku Brzeźnica wznosi się wyniosłe i bardzo malownicze pasmo wzgórz Drabóż, z pięknymi widokami na Karpaty Zachodnie i na Tatry?

Nawet nie wszyscy spośród turystów spędzających wolne niedziele na zwiedzaniu ziemi krakowskiej wiedzą o niezwykłych w swoim rodzaju wąwozach, rozcinających niewielkie wzniesienia koło wsi Kwaczały i Lipowca, około 30 km na zachód od Krakowa. Przyczynia się do tego zapewne zarówno uciążliwy dojazd koleją jak i ukrycie tych osobliwych parowów wśród niezbyt malowniczej skądinąd okolicy.

W pobliżu wsi Kwaczały, Babie, Lipowca i Zagórza Wyżyna Małopolska opada niewielkim, lecz wyraźnym progami ku dolinie Wisły. Próg ten rozcięty jest systemem rozgałęzionych, wąskich jarów, o urwistych ścianach, wciętych na głębokość kilku do kilkunastu metrów, a znaczących się w krajobrazie uprawnych pól jedynie pasmami zieleni drzew, porastających krańcami i mniej przepaściste zbocza tych dolinek.

Najładniej rozwinięte są wąwozy na północ od wsi Kwaczały; wiedzie do nich od przystanku kolejowego Alwernia-Regulice dróżka ponad kamieniołomem melafirów.

Gdy opuścimy się na dno jednego z wąwozów, spostrzeżemy ze zdumieniem, że jego urwiste ściany zbudowane są z piasku. Tak, nie ze zwartego piaskowca, lecz ze słabo zaledwie scementowanego piasku, który pod uderzeniem młotka rozsypuje się. Z piasku zbudowane

są strome, miejscami kilkumetrowe ściany, w piasku utworzyły się w dnie wąwozu parumetrowe progi, których przebycie dostarcza bez mała wspinaczkowych emocji. Gdy przyjrzymy się bliżej materiałowi, w którym wyrzeźbione są jary, dostrzeżemy, że piasek ten prócz przejrzystych bezbarwnych ziaren kwarcu zawiera sporo różnowawych skałeni — jest to tzw. arkoza kwaczalska. Miejscami tkwią w niej większe, parucentymetrowe otoczaki i okruchy innych skał, jak granity, gnejsy łupki itd.

Niemalą osobliwością są licznie wśród arkozy występujące skrzemieniałe pnie drzew szpilkowych (Araucarioxylon schrollani). Na łnie wąwozów koło Kwaczały spotkać można wypłukane z arkozy pniaki ponad metrowej długości. Liczne mniejsze okruchy tych drzew rozrzucone są wśród pól koło Kwaczały i Lipowca. Największy zaś pień skrzemieniałej araukarii (ponad 7 metrowej długości) znaleziono w jednym z wąwozów koło Zagórza. Dziś ten cenny okaz znajduje się w Muzeum Ziemi w Warszawie. Ogromny pień (niestety pokruszony) tkwił swymi końcami w obu zboczach wąwozu w arkozie i trzeba było wydobywać go za pomocą specjalnych wkopów. Był to pień oryginalnego drzewa, rosnącego gdzieś w tej okolicy przed mniej więcej 200 milionami lat. Jego tkanki organiczne zastąpione zostały w postaci wiernej kopii przez substancję krzemionkową i w tej formie mógł on przetrwać miliony lat. Dziś niektóre z takich okazów do złudzenia przypominają kawałki drzewa, lecz niezwykła ich twardość przypomina nam, że należą one już do świata kamieni.

Budowa geologiczna omawianej okolicy ma charakter płytowy. Na warstwie arkozy kwaczalskiej spoczywają utwory marglisto-wapienne. Z wapieni zbudowane jest m. in. wzgórze, na którym wznosi się zamek w Lipowcu. W miejscu, gdzie Wyżyna Małopolska opada progiem ku Wiśle, spod wapieni trilasowych ukazuje się arkoza. Strugi wody spływające od północy w kierunku Wisły, natrafiały tu od tysięcy lat na mało zwarty materiał arkozowy, podatny na erozję i wyrzeźbiły osobliwe wąwozy.

Gdzieś na południe od dzisiejszej ziemi krakowskiej wznosiły się tajemnicze Prakarpaty, teraz przysłonięte grubym płaszczem płaskowcowo-lupkowym utworów Karpat fliszowych. Może z Prakarpat właśnie znosiły wody w okresach ulewnych deszczów produkty wietrzenia i erozji tamtejszych skał krystalicznych, jak ziarna kwarcu, skałeni i okruchy różnych skał. Może Prakarpaty porastały lasy szpilkowych araukarii, których pnie, znie-

sione przez wezbrane potoki, złożone zostały właśnie wśród arkozy i później zakonserwowane przez krążące w niej wody zawierające rozpuszczoną krzemionkę. Dziś przypuszcza się, że u stóp łańcucha prakarpackiego rozwinięte były wielkie stożki usypiskowe. W obrębie tych osadów można zazwyczaj wyróżnić, posuwając się od gór w kierunku ich przedpola, 3 strefy osadów: 1) strefę gruboziarnistych zlepieńców, 2) strefę arkoz, 3) strefę glin. W przypadku stożków usypiskowych prakarpackich nie znamy strefy pierwszej. Arkoza kwaczalska reprezentowałaby drugą z wymienionych stref. Natomiast rozprzestrzenione dalej ku północy (w okolicy Jaworzna, Szczakowej i Ciężkowic) gliny odpowiadają może trzeciej strefie.

Jakkolwiek arkoza kwaczalska od dawna już budziła zainteresowanie licznych geologów i petrografów, to jednak zapewne długo jeszcze będą oni znajdować w niej nowe zagadnienia do swych opracowań.



U góry: Odsłonięte arkozy w ścianie jednego z kwaczalskich wąwozów. Fot. St. Siedlecki.

U dołu: skamieniałe pnie araukarii na dnie wąwozu w Kwaczale. Fot. Stanisław Siedlecki.

B a ł w a n y

niczym na morzu tworzą się na powierzchni jeziora Goczałkowickiego zwanego nie wiadomo dlaczego „zbiornikiem”. Czysta woda, słońce, plaża, niedziela. Cóż z tego? Gęsto ustawione na brzegu tablice ogłaszają w dziesięciu punktach czego czynić nie wolno. Między innymi zabroniono kąpieli i uprawiania sportów wodnych. Fot. Marian Kornecki.

FOT. MARIAN KORNECKI



ZAMEK — WIEZIENIE

JANUSZ BOGDANOWSKI

„Wszedłszy w te piękne ruiny bramą od strony zachodniej, na dziedzińcu zaraz spostrzeżesz 4 herby na kamieniu rzeźbione... Oglądając pustkowie udałem się najpierw ku onej studni... w której znajdująca się woda — drzewo w kamiień przemieniła. Spuściłem pęk zapalanej słomy do głębi owej ciosem wyłożonej studni, widziałem tylko kamieniami zasnucone dno, a głębia jest tak wielka, iż gorejący pęk słomy zdawał się być małą wśród ciemnej nocy tlejącą gwiazdeczką” — pisał niespełna 100 lat temu Łepkowski po zwiedzeniu zamku w Lipowcu.

Ponad dawnym traktem śląskim, na wyniosłym lesistym wzgórzu, na kraju Jury i rozlewisk Wisły, wznosi się biała, zdala widoczna wieża więzienna lipowieckiego zamku. Dziś zamek jest ruiną. Nie ma w nim już mieszkańców, których tu widział jeszcze Łepkowski.

Trudno się domyśleć ilu wydarzeń zamek był świadkiem i ilu podległ przebudowom. Niegdyś okolica ta była gęsto zaludniona, na co wskazuje duże skupisko niezbadanych do dziś grodzisk, resztki osady palowej, cmentarzyska. wreszcie grodzisko lipowieckie, na którym już w czasach historycznych zbójcy założyli swój gródek. Był to pierwszy lipowiecki zamek. Panowanie ich

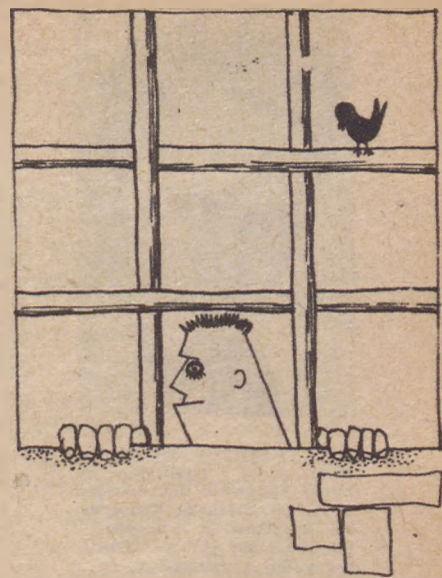
skończyło się zdobyciem i spaleniem gródka, a zbójców spotkała śmierć na szubienicach. Na tym miejscu zaś biskup Prandota w XIII w. pobudował graniczną warownię, która w XV w. zamieniona została na biskupie więzienie. W 1516 roku uciekli stąd nocą franciszkanie oskarżeni o zabójstwo mnicha Fodyna. W parę lat później opuścili się z baszty na sznurze sporządzonym z podartych chust profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Franciszek Stankar, oskarżony o herezję.

Mijały lata, a zamek ciągle był więzieniem, odstepując od tego przeznaczenia tylko na krótkie okresy czasu. Biskup Zadzik, fundator renesansowego zamku kieleckiego, przebudował Lipowiec na swą rezydencję w początku XVII w.; po jego śmierci zamek był w zaniebania, a później zajęty przez marszałka Wirtza służył Szwedom. Ale już biskup Szaniawski w końcu XVII w. rozbudował go i przywrócił mu dawne przeznaczenie. Pożar od pioruna obrócił zamek w ruinę w końcu XVIII w. Odtąd niszczeje już coraz bardziej.

Jeszcze w czasach świetności, w początku XVII wieku, do zamku wchodziło się przez drewnianą bramę w palisadzie, otaczającej „przygródek“, mie-

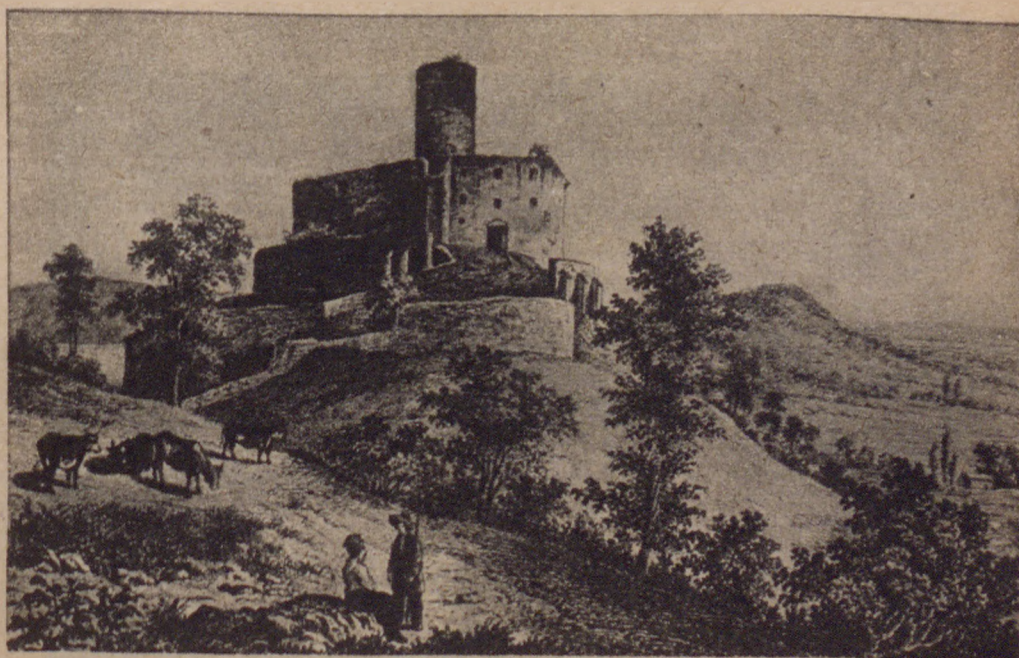
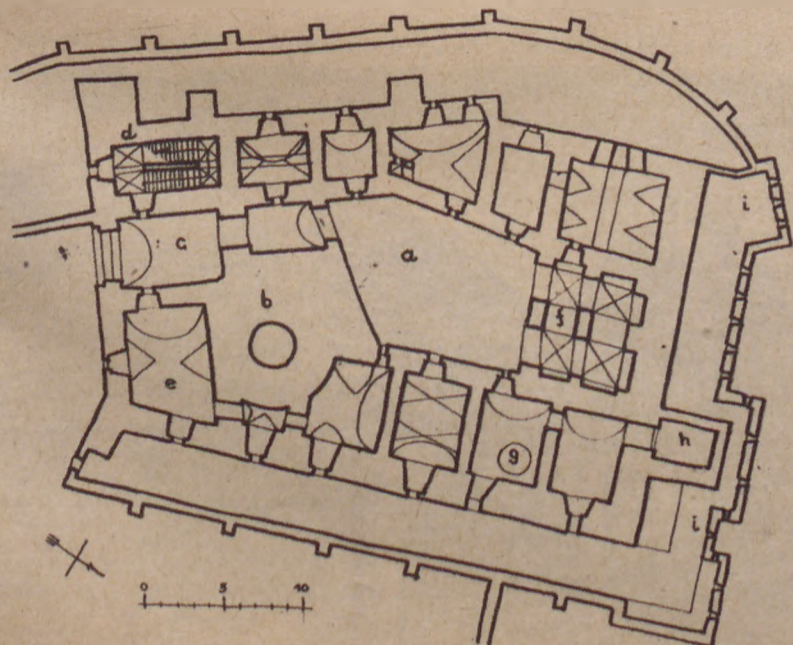
szący budynki gospodarcze. Za nim znajdował się u stóp zamku „dziedziniec“, w którym według słów dawnej lustracji „drzew i orzechów włoskich dosyć“. Dziś pozostał tylko pusty taras i resztki muru uzbrojonego trzema basztami. Dwie z nich istnieją do dziś.

Dalej był właściwy zamek, opatrzony przy wjeździe fosą i zwodzonym mostem. Z pierwotnej warowni granicznej pozostała ogromna 30 metrowa wieża. Dolna, niedostępna jej część stanowiła właściwe więzienie-loch, do którego z izdebki na piętrze zwanej „nad kratą“, spuszczano skazanych na śmierć głodową na linie za pomocą kołowrotu. Sto lat temu jeden z podróżników schodził tam i znalazł podobno kości oraz dalsze przejście do lochów. Izdebki więzienne na wyższych piętrach, do których wychodziło się kamiennymi kręconymi schodkami w grubości muru, dziś zawalonymi, nie miały okien a tylko wąskie szczeliny wentylacyjne w murach trzymetrowej grubości. Obecne duże okna od wschodu opatrzone były drewnianymi wykuszami mieszczącymi latryny. Jeszcze niedawno można było po drabinach wyjść na szczyt wieży, z której roztaczał się wspaniały widok na Tatry, Kraków i Śląsk.



U dołu z lewej: sporządzony przez Janusza Bogdanowskiego plan zamku biskupiego w Lipowcu

U dołu z prawej: ruiny zamku lipowieckiego w r. 1830, litografia wg rysunku Głowackiego.





autor artykułu — 35-letni historyk sztuki i publicysta, ostatnio kierownik dokumentacji naukowej Pracowni Konserwacji Zabytków w Krakowie — interesuje się głównie historią orientalną i dziejami miast.

Miasto gwarków-rozbójników

T A D E U S Z Ż Y C H I E W I C Z

Istniała kiedyś w Krakowie brama Sławkowska, a do dziś istnieje ulica tegoż imienia. Nie bez kozery był chyba ukłon dawnej stolicy, złożony w stronę Sławkowa. Nie uczczono by tak byle mizernej miłośnicy. Może więc warto poznać motywy decyzji średnio-wiecznych ojców miasta?...

Początki — jak zwykle — toną w niepamięci. Przypuszcza się, że Sławków istniał już w pierwszych latach po ufundowaniu biskupstwa krakowskiego; w każdym razie wiadomym jest, że osada o tym imieniu już w w. XI należała do uposażenia kapituły krakowskiej. Czy była ona usytuowana w tym samym miejscu, na którym lokowano później miasto, czy też szukać by jej należało raczej na terenie parafii Bolesławia, gdzie istniały do niedawna ślady jakiejś osady opatrywane nazwą „Stary Sławków” — trudno rostrzygać. Zagadnienie mogłyby rozwiązać tylko prace wykopaliskowe, natomiast czas już chyba powiedzieć, że dotychczasowa literatura niestety przemilczała fakt, iż w Sławkowie istnieją wyraźnie czytelne resztki założenia grodowego. Wystarczy zajrzeć za płataninę płotów, zamykających w południowo-wschodnim kwartale miasta ulicę Zamkową. Odnajdzie się tam niewielkie wzgórze; na jego szczycie pod cienką warstwą darni zarysowują się resztki budowli na planie czworoboku. Grubość murów budowanych z kamienia łupanego, a bardziej jeszcze obecność głębokich, świetnie zachowanych fos, tworzących wokół ruin zarys owalu — wydaje się niedwuznacznym potwierdzeniem obronności miejsca. Mury ukryte dziś pod murawą nie muszą być oczywiście identyczne z pierwotnym gródkiem, który w początkach mógł być drewniany.

Gród sławkowski w końcu w. XIII wyrósł zresztą na jedną z poważniej-

szych pozycji strategicznych pogranicza małopolsko-śląskiego. Nie bez przyczyny Henryk IV, książę wrocławski i pretendent do tronu krakowskiego obsadził w czasie walk dwa tylko grody: Sławków i Skalę, uważając je za kluczowe pozycje, otwierające drogę na Kraków.

Usytuowanie na ożywionym podówczas trakcie wrocławsko-krakowskim dawało osadzie pewne szanse rozwoju — niezbyt jednak świetne z uwagi na konkurencję bliskich i bardziej gospodarczo rozwiniętych ośrodków miejskich.

Zaskakującą w tej sytuacji niespodzianką staje się spontaniczny rozwój Sławkowa w wiekach XIII i XIV. Już w 1221 połowa dochodu z karczem sławkowskich staje się na mocy przywileju Iwona Odrowąża jedną z głównych pozycji uposażenia pierwszych chyba w Polsce duchaków, osadzonych na Prądniku Czerwonym w Krakowie — co pośrednio świadczy o wzmożonym ruchu osiedleńczym w dawnej wsi biskupiej. Ruch ten w czwartej ćwierci w. XIII ukoronowany zostaje lokacją miejską na prawie magdeburskim, zaś w 1295 Wacław, król czeski, książę krakowski i sandomierski „in gratiam Ioannis Muscatae, episcopi cracoviensis” zezwala, aby „loca sua” Sławków, Itzę, Kielce „et alii” obwiodł murami obronnymi i fosami. W trzy lata później biskup Muskata zakłada w Sławkowie „przy drodze Bytomskiej” (obecna ulica Świętojańska) nowy, drugi z rzędu, bardzo obszerny szpital duchacki z kościołem św. Jana Chrzyciela. A to już daje wiele do myślenia.

Chyba nie bez przyczyny pod jurysdykcję zakonu ęchaków przechodzi połowa miasta, co uszczupliło bardzo poważnie istniejącą już podówczas parafię św. Krzyża. I nie bez przyczyny szpitalnicy otrzymują wyjątkowo bogate uposażenie — z jatką, łaźnią, młynem, dużym folwarkiem i dziesięcinami ze wsi Bitków.

Po co i dla kogo ufundowano nowy, świetnie uposażony szpital?

Oczywiście — dla nowej masy osiedleńczej. Są to jednak bardzo osobiwi osadnicy. Mówiąc otwarcie — są to zbiry, przeciwko którym przewód sądowy arcybiskupa Jakuba Świnki prowadzony w latach 1306—1308 wytoczy bardzo ciężkie zarzuty. Padną wówczas udokumentowane zeznaniami świadków oskarżenia o spalanie kościołów w Proszowicach, Tczycy i Giebułtowie, o znieważanie cmentarzy, o trudnienie się prostym rozbojem.

Nowi osadnicy sławkowscy musieli posiadać także i inne specjalne umiejętności, skoro mimo wszystko kapituła krakowska zdecydowała się na ich sprowadzenie z głębi Niemiec. Musieli także — oprócz rozboju — wykonywać jakąś niebezpieczną dla zdrowia, a ważną dla kapituły pracę, skoro do ich dyspozycji oddano nowy obszerny szpital, zamiast najzwyczajniej wyświecić ich z miasta.

Sytuację wyjaśnia znów wzmianka nieocenionego Długosza: pierwszy, wcześniejszy od duchackiego szpital sławkowski założony został przez biskupa Pełkę już w roku 1203 dla

tych, „którzy stracili zdrowie w kopalniach ołowiu”.

Ta jedna wzmianka tłumaczy wszystko. Oto na przełomie wieków XII/XIII odkryto tu pokłady kruszców, nb. należące do tego samego pasa geologicznego, który ciągnie się od Siewierza przez Strzemieszyce, Bukowno i Starczynów do Olkusza. Kapituła umiała ocenić społeczną wagę tego odkrycia. Była to gra opłacalna nawet wówczas, gdy — wobec braku lokalnych tradycji górniczych — musiało się zaryzykować zatrudnienie przybyszy o bardzo wątpliwej konducie. Opłacalne okazało się nawet szczodre ich wynagrodzenie: jeszcze w 1412 biskup krakowski Piotr Wysz pobiera na rzecz kapituły jedynie jedenasty cetnar metalu, pozostawiając dziesięć do swobodnej dyspozycji bractw gwareckich. Przy ówczesnym prymitywizmie środków technicznych praca górnicza była tak ciężka i niebezpieczna, że w innych warunkach nikt zapewne podjąć by się jej nie zechciał. I bez tego w szpitalu sławkowskim — wcześniej i nieuchronnie — konali na ołowicę (zatrucie związkami ołowiu) nieszczęśliwi gwarkowie-rozbójnicy, urwani spod szubienicy. Nie wiele mieli do stracenia.

Gwarectwo dało osadzie szanse przemiany w miasto — i szanse te zostały wykorzystane. Że zaś stosunek wzajemny grodu i miasta był dzięki temu dość specyficzny, więc i urbanistyczny kształt zakładanego na płaskim, wyrównanym terenie miasta wykrystalizował się w układ szachownicowy o wyjątkowej, nie-





Zbudowany w początkach XIX wieku ratusz sławkowski, zniszczony po roku 1916. Zdjęcie archiwalne.

mal matematycznie dokładnej formuły, nie przewidującej zbyt licznych uściplstw przestrzennych na rzecz równie autonomicznego grodu. Układ ten w całej swej regularności zachował się z minimalnymi zmianami aż do dziś; jeśli zaś obserwuje się w nim pewne zaburzenia, to są one bądź wynikiem zaginięcia pewnych istotnych części kompozycji urbanistycznej — takich, jak np. nie istniejący już dziś drewniany kompleks duchacki — bądź też świadectwem pewnych bardzo ciekawych tendencji planowania. Uderza np. dość osobliwe usytuowanie fary. Normalnie stawiano ją w bezpośredniej bliskości rynku; w Sławkowie jest ona odsunięta poza obręb miasta i wiąże się przestrzennie raczej z obszarem grodowym. Przyczyny są dwie: po pierwsze fara w swej najstarszej, prezbiterialnej części jest założeniem przedlokacyjnym, a po drugie sądzić można, że w tym konkretnym wypadku wobec lokalnej specyfiki zagadnień osiedleńczych władze kościelne mogły wyrzucić pewien nacisk w kierunku utrzymania dystansu pomiędzy farą i miastem niespokojnych gwarków-rabusiów. Bardziej rozsądny mógł się wydać terytorialny związek z grodem, nawet za cenę inkastelacji kościoła, który w tych warunkach, wyrzucony poza obręb umocnień miejskich i pozostawiony ich ochronie, liczyć mógł tylko na siebie.

Nie wszystko jest dziś jasne, jeśli chodzi o sylwetkę średniowiecznego Sławkowa. I tak np. problemem są jego mury obronne. Zachowały się dookoła miasta graniczne ulice o-

brzędne, tworzące zarys kwadratu o silnie zaokrąglonych narożach — specjalnie czysto i regularnie zarysowane zwłaszcza w zachodniej połaci miasta. Istnienie tego rodzaju ulic, podobnie jak ich nazwy (np. zachowana „ul. Podwalnia”) jest zawsze zjawiskiem wtórnym, gdyż wytyczano je w powiązaniu z kompleksem obronnym. Jeśli połączy się ów argument urbanistyczny z przekazami archiwalnymi używającymi wyrażenia „extra muros” — „za murami” — to kwestja realizacji przywileju Wacława czeskiego o fundacji kompleksu obronnego w Sławkowie wyda się przesadzoną. Cóż, kiedy dziś nie zachowały się żadne, najmniejsze nawet ślady owych murów; nie dysponujemy też żadnym przekazem ikonograficznym, który by uzmysłowił nam ich wygląd.

Usprawiedliwienia tego faktu należy szukać w późniejszej historii miasta.

Świetność górniczego Sławkowa nie trwa długo. Średniowieczne metody wydobycia nie były w stanie pokonać wzrastających trudności technicznych; po wyczerpaniu pokładów dostępnych za pośrednictwem płytkich szybów, a może także i z innych, niedocieczonych dziś przyczyn — wydobycie kurczy się i zamiera.

Upadek Sławkowa jako miasta górniczego rozpoczął się prawdopodobnie już w trzydziestych latach wieku XV; nie bez wpływu pozostawała tu także zwycięska konkurencja i utrzymujące się wydobycie kopalń olkuskich. Gdy w 1446 biskup krakowski Zbigniew

Oleśnicki zatwierdza przywileje mieszczan sławkowskich — w akcie nie znajdujemy już wzmianki o bractwach gwarczkich.

I wreszcie następuje burzliwy akt końcowy: w 1455 Jan Świeborowski „Polonus”, mający pewne porachunki osobiste z tenentariuszem „fortalicji” sławkowskiej Mikołajem Gunią (Gunya) — doбира sobie do pomocy Irzyka Stoscha, Morawczyka z Olbrachcic i organizuje najazd zbrojny na Olkusz i Sławków. W Olkuszu skończyło się na zatopieniu osiemdziesięciu koni w kopalniach, natomiast Sławków zostaje doszczętnie spalony. W kilkanaście lat potem Długosz mówi o zamożności i zaludnieniu Sławkowa, jak o sprawach niepowrotnie minionych: „...in Sławkow, oppido quondam famoso et insigni”...

W nowej sytuacji jedynym realnym dla „miasteczka niegdyś sławnego” programem mogło być tylko wykorzystanie tych samych możliwości, które towarzyszyły powstaniu Sławkowa, jako wsi biskupiej. Bez zmian pozostaje bowiem usytuowanie miasta na eksponowanym szlaku wrocławsko-krakowskim i wypływające stąd szanse dorobku poprzez rozwój handlu i rzemiosł. Istnieją wreszcie nie zagospodarowane dotąd, a przyznane niegdyś miastu aktem lokacji obszary rolne.

I tak — na nowych, zupełnie odmiennych podstawach, otoczone aktualną wciąż opieką kurii krakowskiej — odradza się miasto. Nowy Sławków — już nie górniczy, lecz handlowy, rzemieślniczy i rolny.

Z dawnego miasta pozostało niewiele: fara — i pelen rozmachu układ urbanistyczny. Ten ostatni, choć w nowych warunkach pełniący rolę przysłowiowego „ubrania ze starszego brata”, zachowano jednak pieczołowicie. Nie przez pietyzm, lecz z najzwyklejszych racji oszczędnościowych. Po prostu łatwiej było wznosić nowe domy na wymierzonych już parcelach i zachowanych fundamentach, aniżeli wytyczać nowe ulice. Tylko umocnień miejskich już nie odbudowano (a może nawet i rozebrano podówczas do reszty dla uzyskania materiału budowlanego) — podobnie, jak nie wskrzeszono już grodu; w jego bezpośrednim sąsiedztwie stanął natomiast już w w. XV dwór, rezydencja starostów biskupich, istniejący do dziś w zmienionym

przez wielokrotne i gruntowne przebudowy kształcie. Nie stało górników, a więc i drewniany kompleks szpitalno-kościelny duchaków także nie był już potrzebny; dopiero w 1758 biskup Andrzej Załuski ufunduje przy obecnej ulicy Kościelnej dom dla starców, ubogich i bezdomnych — także zachowany do dzisiaj, choć mocno już odarty z cech zabytkowości.

Świetna górnicza przeszłość miasta nie jest jednak zapomniana; w latach 1573/74 inicjuje się prace poszukiwawcze, w 1580 raz jeszcze próbuje je wznowić biskup Myszkowski — ale jakoś bez widocznych rezultatów. Pokłady kruszcu istniały, ale eksploatacja przy ówczesnym stanie techniki nie była opłacalna.

Wiek XVII, a bardziej może jeszcze XVIII przynoszą niewątpliwie zmiany w zabudowie miasteczka; nie są one jednak związane z jakąkolwiek bardziej radykalną przemianą typu jego gospodarki. Dopiero koniec w. XVIII i wiek XIX stają się okresem przełomu. W 1790 nadchodzi mianowicie kres biskupiego tytułu własności, a w niedługi czas potem rozpoczyna się gwałtowny proces industrializacji, związany z dokonującym się postępowaniem technicznym.

To, czego z obiektywnych przyczyn technicznych nie mógł osiągnąć wiek XVI ze swoimi próbami reaktywizacji górnictwa sławkowskiego — staje się faktem w wieku XIX. W 1821 rusza kopalnia galmanu „Leonidas”. W 1825 na lewym brzegu Przemszy powstaje pierwsza walcownia blach cynkowych. Wykryto ponadto pokłady rud żelaznych i węgla. Rosną prywatne i rządowe kopalnie i zakłady przetwórcze. U brzegów Przemszy buduje się młyny wodne; przy końcu wieku XIX wartość roczna przemiatu dosięgnie sumy 1.250.000 rubli. Powstają browary i farbiernie perkalu.

Stary Sławków ze swoim nienaruszonym od średniowiecza układem urbanistycznym pozostaje na boku. Bardziej opłacalna jest lokalizacja osiedli robotniczych tuż przy kopalni, czy w pobliżu zakładów przemysłowych, aniżeli rozwalanie starego miasta. I może tylko dlatego zachował się do dziś — bodaj w ułamkach — małomiejski, podcieniowy Sławków z końca XVIII i pierwszej połowy XIX wieku. Warto go poznać.

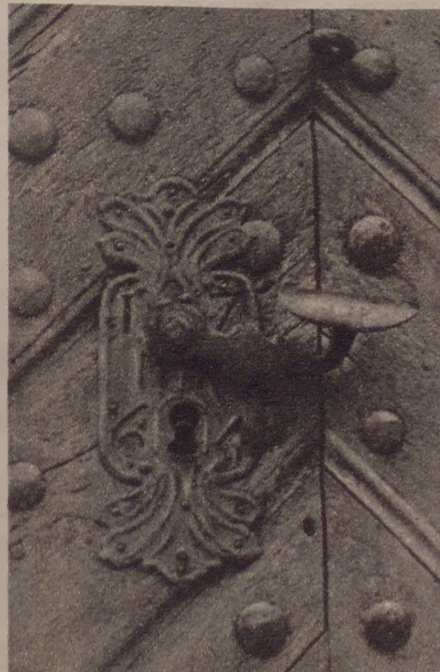
(dalszy ciąg nastąpi)

Gdy w roku 1764 ukończono budowę ewangelickiego kościoła w Strużynie (pow. Morąg, woj. olsztyńskie) nie brakło odpowiedniego ślusarskiego wyposażenia budynku. Drzwi „klepkowe”, prowadzące do wnętrza, otrzymały ozdobne zamki, okucia, antaby i wykładki z klamkami. Szczegóły te zachowały się do obecnych czasów.

Ozdoby ślusarskie odznaczają się wyszukaniem kształtem i bogatą, częściowo ażurową ornamentyką, wśród której przeważają motywy roślinne. Nieznany rzemieślnik umieścił na wykładkach datę wykonania, oraz inicjał „MK” — zapewne początkowe litery swego imienia i nazwiska.

Często podczas prac badawczych nad dawnym budownictwem i kowalstwem, jak też w czasie wycieczek krajoznawczych, napotyka się analogiczne okucia o podobnych motywach i technice wykonania. Datowane okucia ze Strużyny mogą więc mieć niemałe znaczenie. Mogą ułatwić właściwą ocenę napotkanych obiektów — przy uwzględnieniu oczywiście szerszych granic czasowych trwania pewnych wykształconych form w rzemiośle i sztuce, a także ewentualności, że natrafiliśmy na późniejsze naśladownictwo.

(MK)



KRAKOWSKIE ALPY

ZDJĘCIA: ZBIGNIEW ŁAGOCKI

Ciekawość budzi się już w tym momencie, gdy grupy młodych ludzi ubranych w kolorowe czapeczki, skafandry, spodnie do kolan, skarpety o najróżniejszym desenie i wibrany, obciążonych plecakami, zwojami lin i hakami — wsiadają na dworcu krakowskim nie do pociągu zakopiańskiego, lecz... katowickiego.

Ciekawość wzrasta, gdy w przedziale słucha się rozmów prowadzonych językiem, który dla laika jest równie niezrozumiały, jak zawołania bridżowe dla tych, którzy nie odróżniają karty pik od karo i nigdy nie wychodzili spod króla.

Kominy, rysy, przewieszki, zachody, podciągł mieszają się z nazwami brzmiącymi jak hasła wtajemniczonych: Komin Adeptów i Komin Turka, Bodzio, Filar Pokutników, Przewieszony Komin, Niemiecka Drabina, Krwawa Pięść, Palec, Sękata Grzęda, Cyrk, Czarcie Wrota, Komin na Poty, Biała Scianka, Turnia Zabka i Żabi Koń, Turnia Płetwa i Mała Maczuga. I jeszcze kopa innych, przyprawiających o lekki zawrót głowy.

Młodzi ludzie wsiadają w Zabierzowie, czasem w Rudawie, niekiedy w Krzeszowicach. W przedziale robi się zwyczajnie, a oni wsiadają grupami naprzód w polne drogi, potem w dolinki rzeczek i las.

Co dzieje się „jeszcze potem” — najlepiej i najbardziej lapidarnie opowiedzą fotografie.

Tereny wspinaczkowe znane pod popularną nazwą Skalek (wzgl. Dolinek) Podkrakowskich — to wycinek wapiennej Jury Krakowsko-wieluńskiej. Leżą one na północ i południe od tektonicznego zapadliska Kraków—Krzeszowice, którego dnem biegnie szosa i linia kolejowa Kraków—Katowice.

Ich turystyczno-wspinaczkowa kariera sięga roku 1909, a więc okresu o parę zaledwie lat późniejszego od daty powstania pierwszej polskiej



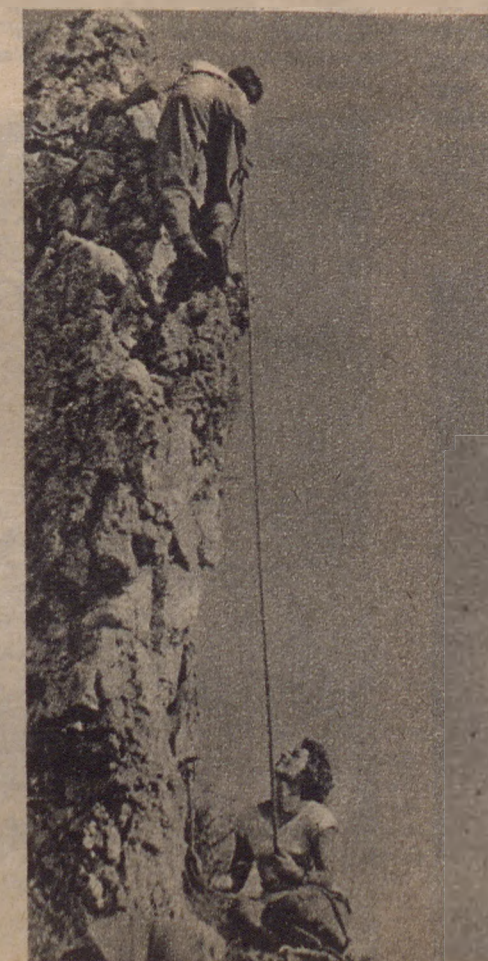
organizacji taternickiej; dzieje szkoły wspinaczkowej w Skalkach upamiętnione są nazwiskami wielu najlepszych taterników krakowskich, którzy tu właśnie zdobywali swoje pierwsze „ostrogi rycerskie” i przeprowadzali niedzielne treningi. Ich historia dzielona na okresy opatrzone osobnymi nazwami — zamyka się okupacyjnym „okresem Pokutników”. Autorami owego romantyczno-zartobliwego miana, aktualnego częściowo do dziś — są mieszkańcy wsi Bolechowice, obserwujący przez długie lata regularne i nie zważające na porę roku i aurę wyprawy grupy zapaleńców obwieszonych linami i potępieńczo brzękających żelastwem.

Skalki Podkrakowskie, odległe o kilkanaście zaledwie kilometrów od miasta — są pierwszorzędym terenem szkoleniowo-treningowym. Nie mogąc oczywiście mierzyć się skalą z „prawdziwymi” górami — dysponują jednak wszystkimi klasami trudności, przyczem większość stanowią trasy i szlaki oznaczane w skalach obiektywnej jako „bardzo”, i „nadzwyczaj” trudne.

Jest to jedna z niewielu w Polsce „szkół lazików skalnych”. Za granicą Skalki tego rodzaju ma Francja w okolicach Marsylii i w Fontainebleau, Szwajcaria w okolicach Zurychu, Anglia w Walli, Austria w okręgu Wiednia, Niemcy w pobliżu Monachium. Wszystkie cieszą się olbrzymią popularnością, rozreklamowane są przewodnikami i wydawnictwami albumowymi.

Naszym Skalom (podobnie, jak i Górcom Stołowym w okręgu wrocławskim, czy Podzamczu koło Zawiercia), naprawdę nie gorszym od zagranicznych tego typu ośrodków szkoleniowo-treningowych — brak popularności tak powszechnej, jaką cieszą się podobne „szkoły” obce. A szkoda. Skalki podkrakowskie zasługują na nie w pełni.

Zainteresowanym polecamy jedyny poświęcony im przewodnik: *Skalki Podkrakowskie* A. Dobrowolskiego i K. Paszuchy, wydany w r. 1955 przez Wydawnictwo „Sport i Turystyka”. Nie polecamy natomiast amatorskich wypraw; Skalki wcale nie są tak niewinne, jak ich nazwa. Już lepiej zgłosić się do Klubu Wysokogórskiego. (T. Z).





W NĘTRZE KOŚCIÓŁKA MIENI SIĘ BOGATĄ POLICHROMIĄ. MALOWIDŁA POKRYWAJĄ KAŻDĄ WOLNĄ PRZESTRZEŃ ŁĄCZNIE Z OBRAMIENIAMI OKIEN I DRZWI ORAZ PARTIĄ POD CHÓREM. ZARÓWNO ŚCIANY NAWY JAK I PREZBITERIUM PODZIELONO NA GÓRNĄ I DOLNĄ STREFĘ. U GÓRY POŚRÓD ROŚLINNYCH ORNAMENTÓW MIĘDZY INNYMI WPLECIONO SCENY CZTERECH CUDÓW, JAKICH DOKONAŁ ŚW. MIKOŁAJ. PARAPET CHÓRU POKRYWAJĄ SCENY MUZYCZNE, NIESTETY JUŻ CZĘŚCIOWO USZKODZONE. POD CHÓREM NIEZNANY ARTYSTA SIĘGNAŁ DO BARDZIEJ UROZMAICONEJ TEMATYKI. WIDZIMY TU DIABŁA UKAZUJĄCEGO KARCZMARCE GRZECHY WYPISANE NA WOŁOWEJ SKÓRZE. ZA GŁÓWNYM OLTARZEM MARSZCZY SIĘ KWIECISTA MALOWANA NA ŚCIANIE DRAPERIA A STROP WŚRÓD MOTYWÓW OZDOBNYCH ZAJMUJĄ SCENY WYOBRAŻAJĄCE NIEBO.

Odkrycie w wiejskim kościółku

MARIA PRZEŹDZIECKA

DAREMNIE szukalibyśmy wzmianek o tej zabytkowej polichromii zarówno w polskiej jak i niemieckiej literaturze naukowej. Od 258 lat pozostawała ona nieznaną szerszemu ogółowi. Dopiero w maju 1957 r. odkryto ją i sfotografowano w małym drewnianym kościółku w Slopanowie. Ta niewielka wioska leży przy szosie z Szamotuł do Obrzycka. Niemiecka inwentaryzacja ze schyłku ubiegłego stulecia wspomina tylko, że Slopanowo posiada drewniany kościółek. O malowidłach ani słowa. Nic więc dziwnego że odkrycie było prawdziwą niespodzianką. Tym większą, że jest to najbogatsza i najciekawsza spośród polichromii zachowanych z tego okresu na terenie Poznańskiego. Malowidła slopanowskie nawiązują do wcześniejszego okresu. Tak np. postać św. Mikołaja w swym dekoracyjnie potraktowanym uproszczeniu wygląda jak prototyp późniejszych obrazów ludowych. Rys to bardzo charakterystyczny dla naszej polichromii, gdyż zasadniczo w malowidłach tego okresu występuje już perspektywa i światłocien. Skąd więc wiemy, że to malowane w staroświecki — jak na owe czasy — sposób wewnątrz powstało dopiero z końcem XVII wieku? Mówią o tym napisy umieszczone koło głównego ołtarza i nad drzwiami bocznej kruchty. Kościółek — według nich — wzniesiono w roku 1695, a polichromia powstała w 1699 roku.

Wielkopolska jest w tym szczęśliwym położeniu, że posiada stosunkowo dużo zabytków drewnianego budownictwa sakralnego. Wśród nich mamy kościołki z XVIII, XVII i XVI wieku. A jednak rzadko znaleźć tu można całkowicie zachowane i współczesną dacie powstania budowli polichromię. Ten fakt powiększa znaczenie slopanowskiego odkrycia. Wielkopolskie kościołki, niestety, wciąż jeszcze nie doczekały się odpowiedniej publikacji. Literatura z tego okresu jest skąpa, a inwentaryzacja — jak widzieliśmy na przykładzie Slopanowa — niekompletna. Tymczasem dosłownie lada dzień któryś z kościółków może spłonąć. Los śląskiego kościółka w Pniowie (lipcowy numer „Ziemi”) jest w tym wypadku smutnym ostrzeżeniem.



U góry — drewniany kościółek w Slopanowie (koniec XVII wieku); z lewej u dołu: wewnątrz tego kościółka; powyżej: malowidła i napisy nad drzwiami bocznej kruchty; poniżej: sceny z życia św. Mikołaja. Wszystkie zdjęcia: Jan Świdorski.



REGIONALIZM

Numer 3-4 biuletynu Komisji badań nad powstaniem i rozwojem Płocka p. t. *Notatki Płockie* jest całkowicie poświęcony konferencji planującej te badania. W drugim dniu obrad mgr Kazimierz Askanas wygłosił obszerny referat, z którego poniżej przedrukujemy fragment, traktujący o regionalizmie:

Regionalizm przejawia się w postaci ruchu polityczno-społecznego, wy-suwającego na plan pierwszy obronę interesów lokalnych a także w nurcie naukowo-kulturalnym, zmierzającym do pogłębienia i rozszerzenia wiedzy o regionie, szczególnie o jego dziejach i odrębności.

Oba przejawy regionalizmu wiążą się z zagadnieniem decentralizacji przekazującej zarząd spraw lokalnych lub specjalnych ciałom miejscowym z zachowaną ingerencją państwa w drodze reglamentowania tych spraw i wykonywania nadzoru, jako kierunkiem przeciwstawnym pojęciu centralizacji, polegającej na wykonywaniu funkcji przez scentralizowany hierarchicznie aparat.

Dlatego też w chwili obecnej, nacechowanej dążnością do decentralizacji życia państwowego, w atmosferze pomyślniejszej dla właściwej oceny społecznego znaczenia organizacji ruchu naukowego, regionalizm zyskał sprzyjający klimat dla swych poczynań.

Słynna wypowiedź Lammennais'a (z okresu republiki 1848 r.) *avec la centralisation, vous avez l'apoplexie en centre et la paralysie aux extrémités*) — nie straciła aktualności i w naszych warunkach. Czyż nie jest bowiem uderzeniem w centrum, jeśli np. czasopisma centralne wskutek przeciążenia mogą tylko w drodze zupełnego wyjątku zamieszczać artykuły dotyczące poszczególnych regionów, a na wydrukowanie prac w tych czasopismach trzeba niejednokrotnie czekać latami.

Należy podjąć konkretne starania o odciążenie (oczywiście rozważne i nieprzesadzone) ośrodków centralnych i uaktywnienie tzw. „prowincji”. Przystąpić do ostrożnej i stopniowej decentralizacji życia naukowego w

kraju, kładąc nacisk na tworzenie ośrodków badań regionalnych także w większych miastach pozauniwersyteckich.

Powstanie etnicznych i kulturalnych odrębności regionalnych posiada uzasadnienie historyczne. Różnoplemienna ludność, zamieszkująca częstokroć wyraźnie odmienne terytoria, warunkuje kształtowanie się regionów. Okres podziałów, długotrwała utrata niektórych dzielnic włączonych do obcych organizmów państwowych, czy też wielowiekowa w granicach państwa odrębność polityczna, nowe nabytki terytorialne nacechowane niejednokrotnie odmiennością, stworzyły w Polsce szczególne warunki utrzymania się wyraźnych odrębności regionalnych.

Sytuacja w okresie porozbiorowym, odmienności poszczególnych zaborów od pozostałych części obcego państwa, niezachwiana dążność do utrzymania polskości w walce z zaborcą, wreszcie rozbudowa warstwy inteligencji, a później ruch pozytywizmu — stanowiły istotne przesłanki, które mimo ciężkich warunków niewoli i zwalczania polskości stwarzały w zaborach bazę dla ruchów kulturalnych o charakterze regionalnym.

Duży wpływ na rozwój polskiego ruchu regionalnego miały teoretyczne i praktyczne doświadczenia regionalizmu na zachodzie.

Regionalizm kulturalny, jako koncepcja ruchu skryzalizowanego co do założeń i celów, powstał we Francji w związku z reakcją przeciw nadmiernej centralizacji i przygniatającym wpływom Paryża, zacierającym odrębności kulturalne prowincji.

O ile regionalizm francuski powstał jako pewien wyraz świadomej reakcji przeciw centralizacji, regionalizm we Włoszech warunkowały silne odrębności gospodarcze i kulturalne oraz tradycje polityczne zjednoczonego po niedawnym *Risorgimento* państwa.

Regionalizm niemiecki ma u swych podstaw, podobnie jak regionalizm włoski, tradycje odrębności państwowych, gospodarczych i kulturalnych.



Polska w Europie Środkowej bezsprzecznie przoduje w dziedzinie sportu i turystyki podwodnej. To zasługa

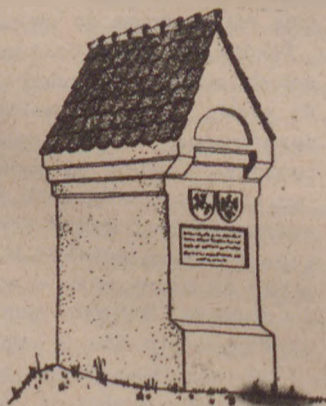
WITOLDA ZUBRZYCKIEGO

który pierwszy zaczął nurkować postugując się

„wodnymi płucami”

**PRZECZYTAJCIE JEGO
WSPOMNIENIA**

Słup na granicy



Mało kto z nas był w Prostkach. Wszyscy znamy jednak ich nazwę upamiętnioną przez Sienkiewicza. To właśnie tu stoczył bitwę podskarbi Gosiewski z armią Bogusława Radziwiłła. Do dnia dzisiejszego stoi tu pamiątkowy słup z łacińskim napisem i herbami. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że upamiętnia on XVII-wieczną batalię. Słup nawiązuje do wcześniejszych wydarzeń. Postawiono go w roku 1545 po wytyczeniu granicy między Polską a lennymi Prusami Książęcymi.

Pod tarczami herbowymi (Pogoń i jednogłowy orzeł z koroną na szyi i literą S — Sigismundus — na piersi) znajduje się napis łaciński mówiący o spotkaniu Zygmunta Augusta z księciem pruskim Albrechtem.

Słup był parokrotnie odnawiany — po raz pierwszy po „odkryciu” go w 1819 roku przez radcę rejencyjnego Wagnera. Restauracja doszła do skutku w 1823 roku a Polacy (z Królestwa Kongresowego) dali wówczas na ten cel 125 guldenów (koszt ogólny wyniósł 47 talarów 54 grosze).

Czy jednak budowla stojąca dziś w Prostkach jest rzeczywiście autentycznym słupem postawionym tu 412 lat temu? Obecny jej wygląd skłania do podejrzeń, że dziewiętnastowieczna restauracja polegała na wzniesieniu nowego słupa i wmurowaniu weń pierwotnych tablic.

E. M.



SPACER

PO

DNIE

BALTYKU

Najważniejsze, żeby nikogo nie było w pobliżu. Jesteśmy wciąż jeszcze takimi rarogami, że jeśli nas dostrzeżę, w mąg zbiera się tłum gapiów. Natrętni widzowie napierają, dzieciaki niemal wdrapują się nam na głowy. Wszystko wrzeszczy, gada, robi mniej lub więcej dowcipne uwagi, ale nie o to chodzi. Cała heca byłaby do zniesienia gdyby nie niebezpieczeństwo jakie zagraża pozostawionym na brzegu ubraniom starym zresztą i znoszonym — ale zawsze... Zegarki należy oczywiście zostawić w domu.

Wreszcie jestem gotów. W elastycznym ubiorze z kauczuku piankowego, masce nurkowej, pletwach i skórzanych rękawicach, w aparacie C-G umocowanym na plecach rodzajem szelek, opuszczam się z pomostu soppockiego moła do morza — nogami w dół. Ciśnienie wody natychmiast

wyciska z nogawek i dolnej części ubioru powietrze, które zbiera się pod szyją. Unoszę nieco krawędź kaptura i wielki bąbel powietrzny pędzi w stronę bliskiej powierzchni, aby zniknąć w istnej eksplozji słonecznych blasków i refleksów. Teraz kiedy pozbyłem się nadmiaru pływalności staję się nagle cięższy od wody i zaczynam powoli opadać w dół. Automat oddechowy moich butli pracuje bez zarzutu; gdy wdycham powietrze, w wodzie rozlega się cichy, metaliczny brzęk. W chwilę później pobrzmiwa mu do wtóru szum uchodzących z zaworu pęcherzyków wydechu. Poza tymi odgłosami wokół panuje absolutna cisza. Niemal natychmiast zapominam o wrzasku i natręctwie, które pozostawiłem w innym świecie — na powierzchni. Poprawiam sobie jeszcze maseczkę i obra-

cam się wokół swej osi.

Patrzę.

Nie widzę żadnego kształtu, żadnego zarysu jakiegoś przedmiotu. Wokół jest ciemnozielona przestrzeń. Czy pamiętacie z fizyki ćwiczenie polegające na dolewaniu gęstego roztworu soli do szklanego słoja napełnionego w połowie wodą? Leżące na dnie słoja jajko unosiło się w pewnej chwili z dna i zawisało w cieczy; jej gęstość bowiem wzrosła do punktu, w którym można było naczyniowo sprawdzić słuszność prawa Archimidesa.

Wiszę w ciemnozielonej przestrzeni właśnie jak owe jajko w roztworze soli. Aby powstrzymać opadanie, zatrzymuję na chwilę wdech i unoszę się ku powierzchni niczym leniwy balon. Nademną zielenią jest jasna, świetlista; gdy patrzę pod stopy prze-

chodzi w ciemny, niemal czarny odcień. Kontrast świetlny między tą „górną“ a „dolną“ zielenią jest tak silny, że pode mną zdaje się otwierać ponura, straszna otchłań, nade mną zaś — droga do nieba.

Szkoda powietrza. Czas ucieka. Porzucam zieloną nieskończoność. Jak? Po prostu przez kilkanaście sekund powstrzymuję się od zaczerpnięcia powietrza. Cięższy od wody, pograżam się wolno w otchłań. Przyjmuję pozycję poziomą. Patrzę w głąb i oto z czarnozielonej poświaty wylania się dobrze mi znany obraz — wielkie pole omulków, których muszle gęstą warstwą zaległy dno w pobliżu moła.

Czekam jeszcze chwilę, aż opadnę na pożądaną głębokość. Wykonuję głęboki wdech, zatrzymuję go, wylawiam moment w którym ruch opadania ustaje i naciskam spust foto-

aparatu zamkniętego w wodoszczelnym pancerzu. Widzialność jest dzisiaj zła, nie większa chyba niż na 4 metry. Dno ma około 8 metrów głębokości; jest zupełnie ciemne. Niedobrze. Jeśli chcę z naświetlonego przed chwilą negatywu otrzymać czytelne powiększenie, trzeba będzie wzmocnić go w parach rtęci. Sam zabieg nietrudny, ale wyciąć później właściwą klatkę z filmu — nielatwo.

Mimo że pogoda jest dzisiaj wspaniała — słoneczna i bezwietrzna — powolny prąd przesuwam mnie nad dnem. Mam już wieloletnią wprawę, więc wzrok mój z łatwością wyłuskuje zamaskowane wśród muszli łby węgorzy, które zagrzebały się w mułe dennym lub skryły pod zwalami omułków. Z książek wiadomo, że wystawiając tylko łeb na zewnątrz czują w ten sposób na zdobycz, jednakże nigdy dotąd nie udało mi się zobaczyć węgorza atakującego inną rybę. Sądzę raczej że sopockie węgorze żywią się głównie mieszkańcami muszel i że właśnie obfitością tego przysmaku należy tłumaczyć tak wielką ich ilość w najbliższej okolicy mola spacerowego. A że kryją się po różnych zakamarkach? Pewnie z przyzwyczajenia.

Kiedy na chwilę odrywam wzrok od dna, spostrzegam, że na wprost mający wysoki, pionowy cień — jeden z pali, na których opiera się konstrukcja pomostu. Cóż za cudowne uczucie nieważkości, ptasiej wprost lekkości! Gdzież podziela się siła przyciągania ziemi, która przy moich ponad stu kilogramach żywej wagi tylekroć przypomina o sobie w codziennym życiu? Zacerpnąłem głęboko powietrza, poruszyłem lekko plecami i już mknę skośnie ku górze w stronę pala. Spoglądam w górę. Tuż pod powierzchnią sędziwy, zmurszały już nieco pal otula zielona broda glonów. Promienie słońca wydobywają z wodorostów wszystkie odcienie zieleni. Niżej pal porastają omułki. Przyczepiły się doń mocnymi nitkami swej wydzieliny — bisioru (tak, tego samego bisioru, z którego w Grecji i Rzymie sporządzono cienkie, drogie tkaniny) i tak trwają pędząc nieruchawe życie. Życie? Prawdziwiej byłoby powiedzieć: cędzenie, gdyż przez ciała małży bez przerwy przepływa strumień wody, z której odcedzają organiczną zawiesinę stanowiącą ich pożywienie. Że jednak odcedzenie następuje prawie automatycznie, natomiast małż wiele energii wkłada w przepompowywanie wody przez swój organizm, więc może lepiej pisać o pompowaniu? Tak, omułek to niezamordowana pompa. Sztuczna, przez człowieka stworzona konstrukcja mola zakłóca naturalne ruchy wody morskiej pędzonej wiatrami. Zwirowania i lokalne mikroprądy w najbliższej okolicy pali niosą mnóstwo smacznej, pożywej zawiesiny. Omułki szybko rosną; z przybytkiem wagi wzrasta apetyt, więc pompują coraz intensywniej. Kiedy zaś są już tłuste i smaczne, zjawia się węgorz i powiada do mieszkańca muszli: „Dość pompowania!” Lub któryś z rybaków okupujących od wczesnej wiosny do późnej jesieni molo opuści pod wodę specjalny czerpak z mocnego, grubego drutu i zdrapie z pala kilkadziesiąt omułków.

Na palach, które są z jakiejś przyczyny niedostępne, omułki osiadają w grubej, liczącej nawet 10 cm war-

stwie. Wśród muszli co krok kryjówka węgorza. Wężowaty, śliski korpus śmignie czasem tuż przed szkłem maski — nie warto jednak silić się na schwycenie ryby ręką. Nie utrzymasz, nawet jeśli w dłoni jest trochę piasku. Nim się człowiek wygramoli na pomost, pokryty śluzem ogon dawno już wypłynął się spod zaciśniętych palców.

Rozgadałem się. A przecież nie opowiedziałem nawet połowy tego, co wiem o omułkach. Czy jestem ichtiologiem? Nie, po prostu nurkuję często dla przyjemności i rozglądam się po podwodnym świecie, obserwuję, później zaś, aby sobie to i owo wyjaśnić, trochę czytam. Lecz powie ktoś, to są już indywidualne cechy autora — owa skłonność do obserwowania, refleksyjność. — Nieprawda. Woda jest ośrodkiem 900 (słownie: dziewięćset) razy gęstszym niż powietrze. Najbardziej impulsywny, niecierpliwy charakter musi podporządkować się rządzącym tu prawom. Każdy zbyteczny ruch, każde nieopanowane działanie męczy fizycznie — skraca czas pobytu pod wodą przez szybsze zużycie zapasu powietrza. Pletwonurek, którego „wzięto” i który chce się zaprzyjaźnić, żyć z nowym środowiskiem, będzie musiał pozostawić swoją „ziemską” psychikę nad powierzchnią i przestawić się wewnętrznie głównie na obserwację, poznawanie. Chcąc nie chcąc wkrótce stanie się podwodnym krajoznawcą, ciekawym, wścibskim turystą konsumującym piękno i dziwy nowego świata.

To jest naprawdę inny świat.

Wiosna, ciepło. Trochę wiatru od morza. Na plaży oczywiście nie ma jeszcze ani psa z kulawą nogą: temperatura wody 8°C. Amatorzy kąpieli muszą poczekać co najmniej miesiąc. Ja nie czekam. Dziś woda jest przezroczysta — przynajmniej jak na nasze warunki. Pionowo opuszczana do wody, biała, metalowa tarcza (dysk Secchi'ego) widoczna jest jeszcze z głębokości 6 metrów.

W gumowym ubiorze, z aparatem

na plecach wchodzę nie spiesząc się do morza. Chcę zrobić kilka próbnych zdjęć, aby porównać je później z takimi samymi, wykonanymi w warunkach innej przezroczystości wody. Kiedy wraz ze swym towarzyszem znajduję się już na dostatecznej głębokości, uderza mnie, że jego butle odbijają się w powierzchni wody. Wody? ściślej — powietrza, które ze swym innym niż woda współczynnikiem załamania stanowi dla podwodnego obserwatora doskonale lustro. Siła odbicia tego lustra nie ma sobie równych wśród wytworów człowieka. Na fotografii odbicie butli jest, niestety, nieco zamazane. Zawiniły tu pęcherzyki mego wydechu, które ulatując sfaldowały powierzchnię. W tym względzie lepsze są aparaty oddechowe o obiegu zamkniętym — lekkie skafandry tlenowe, z których na zewnątrz nie ulatuje ani jedna bąbelka gazu. Cóż, kiedy oddychanie tlenem jest już na stosunkowo nieznacznej głębokości groźne dla życia!

Zjawisko odbicia występuje tylko wtedy, gdy patrzy się w stronę powierzchni pod pewnym kątem — większym niż tzw. kąt graniczny całkowitego odbicia (48,6°). W obrębie kręgu wewnętrznego, wyznaczonego przez ten kąt tak nurek, jak i każda ryba widzi cały świat zewnętrzny — zarówno zenit, jak i horyzont! Choć to brzmi na pozór nieprawdopodobnie, nurek patrzący spod wody (wody oczywiście przezroczystej i lustrzanie gładkiej) dostrzega rzeczywiście cały świat zewnętrzny. Jakby patrzył przez peryskop! Ale zostawmy optykę wody w spokoju. To cały, długi rozdział najeżony niespodziankami, których jedyną zresztą przyczyną — i to warto zapamiętać — jest odmienny od powietrza współczynnik załamania wody wyrażający się cyfrą 1,33.

Kiedy na chwilę wynurzam się, mój towarzysz wskazuje coś ręką w oddali. Spoglądam w tym kierunku i widzę, że z powierzchni morza co chwila wystrzeliwuje tysiąc błyszczących w słońcu drobnych rybek. Płyniemy w ich stronę. Igraszki stad

narybku są jednym z niewytłumaczonych zjawisk przyrody. Bezgłośna, błyskawiczna, absolutnie bezbłędna musztra! W tył zwrot, w prawo zwrot, w powietrze skok, pionową piką w głąb i znów w tył zwrot, w prawo zwrot...

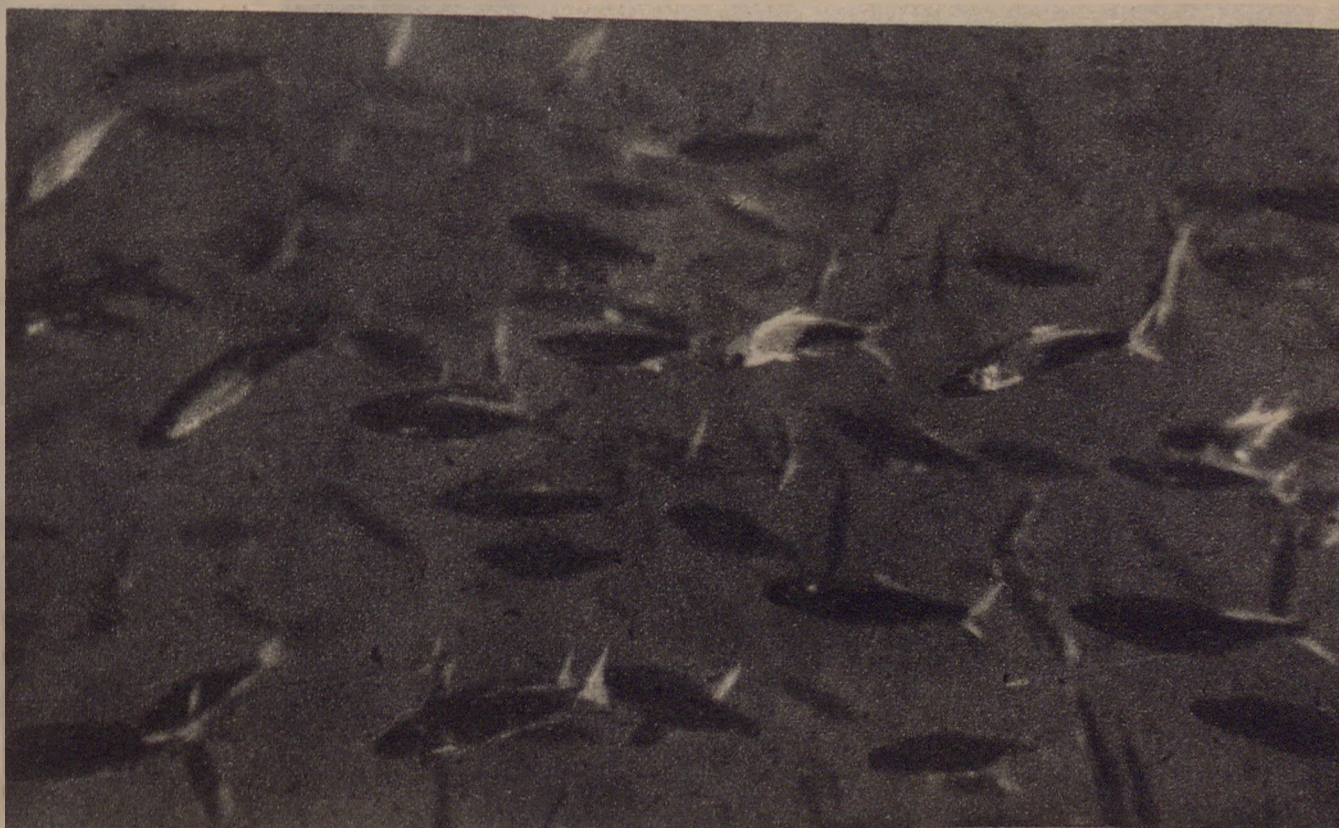
Posłuszne jakimś niesłyszalnym i niewiadomo przez kogo wydawanym komendom, idealnie zgrane i szybkie, małe rybki czasem z równie niewytłumaczonych powodów nagle przerywają swój opętańczy taniec, zawisają nieruchome w wodzie i jakby wypoczywają. W takiej właśnie chwili powstało reprodukowane tu zdjęcie.

Tak, dziwny to świat i chociaż w Bałtyku raczej trudno byłoby spotkać latające ryby, czy podziwiać z bliska cuda raf koralowych, każda chwila spędzona pod wodą dostarcza nowych wrażeń, w każdej też chwili coś się wokół dzieje. Trzeba tylko umieć patrzeć.

Zdjęcia skończono. Szybuję chwilę pod powierzchnią, lecz nie mogąc dostrzec dna osuwam się w głąb. Najpierw wokół robi się coraz ciemniej, kiedy jednak spływam nad piaszczysty grunt, znów rozjaśnia się. Jasny piasek odbija rozproszone promienie świetlne. Jest ułożony w misterny wzorek. Pagórki i dolinki, strome i spłaszczone profile — deseń ten, który zresztą powstaje wskutek wglębnych ruchów falującej wody, do złudzenia przypomina powierzchnię zmarszczoną lekkim wietrzykiem. Pusto. Piaszczyste dno, to dno ruchome, zmieniające swój kształt i konfigurację pod wpływem fali i prądów. Nie utrzyma się tu żadna roślinność. Po pierwszym sztormie każdy omułek, który by zamieszkał na tych wędrujących, zdradliwych „wydmach”, zostałby pogrzebany żywcem pod zwalami piasku. Gdzie zaś nie ma roślinności, nie ma i ryb.

Nic dziwnego, że tak nieufnie traktuje się wszystkie raporty nurkowe i że w praktyce wydobywania wraków na przykład spotyka się absurdalne na pozór odchylenia w tak

ZDJĘCIE POWSTAŁO W CHWILI, GDY RÓJ BŁYSZCZĄCYCH RYBEK PRZERWAŁ NA MOMENT SWÓJ TANIEC



prostych obserwacjach, jak długość, czy szerokość jakiego obiektu. Gdy szacuje ją kilku nurków, zostaje oceniona na kilka, kilkanaście, a czasem i na kilkadziesiąt metrów. Inność środowiska, o której mowa, niestety, nie daje się odtworzyć na zdjęciach. Martwa emulsja rejestruje tylko zmianę natężenia światła — nic więcej. Nie tylko dziwność oświetlenia, nie tylko jego zmienne zabarwienie, lecz i niezwykłość podwodnej perspektywy, przestrzenność otaczającego świata, tzn. jego trójwymiarowość, oraz mimowolna, ciągła zmiana kąta obserwacji przez nurka — oto cechy „inności” podwodnego świata.

Ograniczenie widoczności ma też swoje uroki. Najpierw rozmyte, później coraz ostrzejsze, wyłaniają się kontury zaścielających dno głazów. Za węglem pola widzenia czai się wciąż niespodzianka — może za chwilę ujrzę coś niezwykłego? Wszystko ma posmak tajemniczości. Blaski i refleksy, odbicia i zniekształcenie konturów, złudzenie wzrokowe i tajemnicze ruchy czegoś na granicy zasięgu widzenia — oto atmosfera psychiczna, w jakiej pod wodą przebywa nurek.

Instrumentem o wiele lepszego odtworzenia nastroju, jaki panuje pod wodą, jest film. Pierwsze próby filmowania przyniosły mi raczej rozczarowanie. Wina leżała zresztą po mojej stronie. Użyłem zbyt mało kontrastowego materiału negatywnego. Lecz w ub. roku nakręciłem trochę próbnych zdjęć na wraku ORP GRYF na błonie Superpan i od razu otrzymałem zadziwiająco dobre rezultaty.

Była połowa października, słońce straciło swój blask i trzeba było schodzić pod wodę tylko koło południa. Wielką i nieporęczną kamerę pożyczaliśmy z Wytwórni Filmów Dokumentarnych, która zresztą wybudowała ją pod naszymi auspicjami. Jak każdy prototyp kamera nie była udana. Po nakręceniu sprężyny film biegł około minuty, po czym trzeba było znów naciągać sprężynę źle skonstruowaną korbą. Po następnej minucie było już po wszystkim: musiałem wracać na powierzchnię, aby wymienić magazynek z naświetloną taśmą.



Wrak leży mniej więcej w połowie drogi między Jastarnią a półwyspem Rewa. Nie jest to właściwie już wrak, lecz jego niewielki fragment stanowiący obecnie ćwiczebny cel dla naszych bombowców. Resztę dawno pocięto na złom i odtransportowano do hut.

Część zachowanych masztów wystaje nad wodę. Imponujący, choć jednocześnie żalony widok. Pod wodą wrak wygląda mniej zachęcająco. Jest porwany i poszarpany wybuchami bomb. Na wszystkie strony sterczą jakieś oderwane płyty poszycia i pokładu, grożą poruszające się wraz z falowaniem wody ostre obłomy i pręty. We wszystkie dni, kiedy podpływaliśmy do wraku, wiał silny wiatr z SE pędząc niewysoką, lecz zgrzywną falę aż gdzieś do ujścia Wisły. Wrak skrzypiał i dźwięczał

pod naporem wiatru. Dobiliśmy łodzią po zawietrznej.

Fala miotła mną, kiedy obciążony wielką kamerą schodziłem do morza. Pod wodą nie było lepiej. Przez wielkie otwory w kadłubie, przez szpary i płataninę poszarpanych blach porwy mikroprądów rzuciły mnie w różnych kierunkach. Nim się zdążyłem obejrzeć, ubiór był już przecięty w kilku miejscach. Woda przedostała się natychmiast pod gumę, wstrząsnął mną dreszcz. Za chwilę pod wodą pojawił się mój towarzysz uzbrojony w najmniej poręczną z naszych kamer podwodnych — w „Robota” zamkniętego w panczeru z łuski pocisku artyleryjskiego. Ciężki pancierz trzeba było jakoś zrównoważyć z wodą, więc domocowaliśmy do niego 4 pływaki rybackie. Całość — nie mniej nieporęczna niż kamera filmo-

wa. Zaleta — automatyczny przesuw filmu i takiż naciąg migawki.

Opuściliśmy się niżej. Na głębokości sześciu metrów dostrzec można było część pokładu dziobowego spoczywającego płasko na dnie. Kiedy później wydobyliśmy na powierzchnię kilka kawałów żelastwa walającego się po pokładzie, okazało się, że wszystkie były pokryte grubą warstwą czerwonej, jaśniejącej wesoło w słońcu rdzy. Jednakże przed obiektywem mej kamery rozpościerał się teraz pokład o barwie niemal czarnej. Czarnej, gdyż woda pochłania najskuteczniej fale długie widma słonecznego. Nie miałem wielkiej nadziei, że zdjęcia pokładu udadzą się, niemniej, kiedy później wyświetliliśmy film na ekranie, ujrzałem przed sobą obraz do złudzenia imitujący widok, który oglądałem pod wodą w paź-



dzienniku. Niestety powiększenie wykonane na papierze mniej odbija światła niż przepuszcza go przezroczysta taśma filmowa na jasny, opalizujący ekran. Stąd i efekt powiększenia na papierze — o wiele mniejszy.

Pokład porastały nieliczne glony. Wokół ani jednej ryby. A tyle się ich przecież kręci zawsze w pobliżu wraków. Dopiero kiedy opuściłem się jeszcze niżej wzdłuż burty w spokojniejszej nieco, choć bardzo mętnej, pełnej widocznych gołym okiem zawieszin wodzie ujrzałem stadko maciupeńkich rybek wirujących jak rój komarów. Skierowałem na nie obiektyw kamery, lecz w tym właśnie momencie skończył się film. Mogłem się nie spieszyć. Podpłynąłem aż do samego roju, aby przyrzeć się mikro-rybkom z bliska i — o dziwo! Pomyliłem się. To nie były rybki lecz krewetki. Przyznam się, że nie miałem dotychczas pojęcia o ich istnieniu w naszych wodach. Miały śmieszne, długie nóżki, były półprzezroczyste i przebierały swymi kończynami tak szybko, że trudno było ułoić okiem ich miganie.

Opiwając cały wrak wróciłem do okrętu okrężną drogą. Kiedy wielki cień jego kadłuba zamajaczył mi nad głową, tuż przed sobą zobaczyłem wielkie skrzydła śruby błyszczące w słońcu wypolerowanym mosiądzem.

Jeszcze raz zszedłem tego dnia do wody, aby sfilmować ten widok.

Wyświetlony na ekranie film, sklejony zresztą ze zbyt krótkich, niepowiązanych tematycznie i fragmentarycznych ujęć, okazał się zadziwiająco dobry i ciekawy. Mimo małej przezroczystości wody, obecności w wodzie gruboziarnistej zawiesziny i późnej pory roku — niektóre ujęcia klarownością i czytelnością obrazu w niczym nie ustępowały hassowskiemu „Przygodom na Morzu Czerwonym”. Oprócz innych wad reprodukowanych tu powiększenia z poszczególnych klatek filmu grzeszą pewną nieostrością. Na ekranie tego nie widać. Na obraz oglądany na ekranie składają się w ciągu jednej sekundy 24 klatki filmu. Składa się też ruch. Widz odnosi zupełnie inne wrażenie.

Osobiście jestem zdania, że wraz z tymi próbnymi zdjęciami urodziła się w Polsce nowa gałąź reportażu filmowego, przyznali to zresztą sami filmowcy z WFD, których pierwsze podwodne próby na jeziorach mazurskich nie wypadły zachęcająco. Mały wycinek nakręcanego wówczas materiału był wstawiony do którejś z kronik jesienią 1956. Jest nadzieja, że w najbliższych latach Film Polski ruszy do boju i będziemy mieli sposobność oglądania w kinach polskich filmów podwodnych. Technicznie nic temu nie stoi na przeszkodzie.

Sprawa filmu będzie miała też, sądzę, duże znaczenie w tworzeniu się „ideologii” naszego sportu nurkowego, który — jak wiemy — w Polsce dopiero się rodzi. Nie mamy rekinów, nie mamy płaszczyk, nie mamy mieniących się wszystkimi barwami i pulsujących najbardziej intensywnym życiem raf koralowych. Łowiectwo podwodne nie ma więc w naszych wodach przyszłości. Gdybyśmy zezwolili na harce podwodnych łowców uzbrojonych w harpuny, nieliczne ocalałyby jeszcze przed zachłannością wędkarzy szczupaki czy okonie

wyginęłyby szybko w naszych wodach do cna. Natomiast turystyka podwodna, podwodne krajoznawstwo, prace badawcze wszelkiego rodzaju (archeologia, geologia, zagadnienia przyrodnicze) oraz film i fotografia podwodna powinny się stać treścią ideową wszystkich wypraw, obozów, wypadów i jakże tam jeszcze nazwy będą nosić wyjazdy naszych pletwonurków.

Film przede wszystkim. Podobnie jak to się dzieje lub winno dziać również i w innych dziedzinach turystyki i krajoznawstwa.



Już przeszło 700 lat minęło od chwili gdy mistrz Herman Balk na czele rycerstwa i knechtów spotkał Smetka odzianego w strój pruskiego kunigasa. Przeszło 700 lat upływa od rozpoczęcia podboju Prusów. Zniknęła z powierzchni ziemi lud nadbałtyckich pogan i pozostało, po nim tylko nieco historycznych wzmianek z opowieścią o św. Wojciechu na czele. Kim byli ci odziani w skóry wojownicy raz po raz napadający na pogranicze mazowieckiej prowincji? Należeli do dużej rodziny ludów mówiących językami bałtyckimi. Ich pobratymcy, Jadzwingowie, których stolicą miało być dzisiejsze miasteczko podlaskie — Drohiczyń, byli przez długi czas postrachem północno-wschodnich obszarów średniowiecznej Polski. Inni ich krewniacy, Litwini, najechali ogromne kraje ruskie i omalże nie rozplynęli się w morzu podbitych ruskich ludów. Ale powodzenie odwróciło się od wojowniczych Bałtów. Jaćwierz rozgromiono w bitwie pod Zawichostem, a Litwę od wzrastającej groźby ze strony Krzyżaków i Moskwy uratowała unia z Polską. Ofiarą Zakonu Teutonskiego Panny Marii Jerozolimskiej padli Prusowie. Wytępiono ich tak systematycznie, że dziś głównie archeolog może coś powiedzieć o życiu mieszkańców sprzedanego przez pruskiego diabła „kraju zimnych jezior”.

O STROJU »północnych pogan«

ROMUALD ODOJ

Mimo intensywnej kolonizacji zbrojnej prowadzonej przez Krzyżaków, krainy pruskie jeszcze przez długi czas zachowywały swą odrębną kulturę. Dowodzą tego archeologiczne wykopaliska prowadzone dziś przede wszystkim na średniowiecznych cmentarzyskach pruskich. Dlaczego jednak właśnie przede wszystkim na cmentarzyskach? Otóż XIII-to i XIV-to-wieczne cmentarze pierwotnych Prusów posiadają duże znaczenie dla archeologa w przeciwieństwie do podobnych cmentarzysk plemion polskich. Osady pruskie były jeszcze w tym czasie w znacznej mierze pogańskie i zmarłym ich mieszkańcom wkładano do grobów mnóstwo przedmiotów używanych przez nich za życia. Tymczasem mieszkańcom chrześcijań-

skich już podówczas osad polskich ich religia surowo zakazywała podobnych praktyk. Trąciło to bowiem pogaństwem.

Podczas gdy słowiańskie cmentarze z tego okresu grupują się już wokół kościołów lub w pobliżu osad, cmentarze pruskie leżą na odludnych uroczyskach. To, o czym piszę, znaleziono dwa lata temu na jednym z takich cmentarzysk. Leży ono w Równinie, w powiecie kętrzyńskim. W szeregu kobiecych grobów odkryto tu szczątki średniowiecznych strojów pruskich. Oczywiście do naszych czasów dochowały się tylko ozdoby, biżuteria i gdzieś tam wśród nich resztki tkanin. Niemniej wiedza nasza o życiu wymarłych mieszkańców pruskich wiosek jest tak skromna, że każ-

DALSZY CIĄG NA STR. 25

JAK GDAŃSK WITAŁ ŻONĘ WŁADYSŁAWA IV

W roku 1648 ukazała się w Paryżu pięknie wydana książka pt. *Relation du voyage de la reine de Pologne*. Napisał ją Jan Le Laboureur, pan de Bleranval, towarzyszący Ludwice Marii, żonie Władysława IV w podróży do jej nowej ojczyzny i do zaślubionego w Paryżu, nieznanego jej osobiście, męża (pana młodego przy ołtarzu zastępował wojewoda Krzysztof Opałński).

Ludwika Maria Gonzaga dążyła do Polski z Paryża przez Hamburg, a następnie nadmorską drogą przez Koszalin na Gdańsk 8 lutego 1646 roku znalazła się w granicach Polski. Już jednak w Koszalinie spotkała się ze swymi poddanymi, którzy wyjechali dla powitania nowej pani. Holdy zbierała też na samej granicy, np. w Lęborku. Spotkanie nastąpiło też w Oliwie pod samym Gdańskiem, lecz właściwe, uroczyste przyjęcie odbyło się dopiero na milę przed Gdańskiem.

Przyjęcie, jakie zgotowało miasto i szlachta polska, olśniło Le Labourea i całe francuskie otoczenie królowej, towarzyszące jej w podróży.

A więc „wyszło naprzeciw 48 chorągwi, po 120 ludzi każda, za nimi 230 lekkobrojdnych. Dalej 400 jeźdźców gdańskich w czarnych ubiorach i ze złotymi łańcuchami na piersiach, dalej 300 dragonów Wejhera, 100 jezdnych, 100 dragonów i 100 węgierskich hajduków biskupa warmińskiego, następnie 300 hajduków i dragonów biskupa kamienieckiego, wreszcie hufce brata królewskiego, księcia Karola, oraz senatorów i urzędników, szlachta, kozacy, hajducy i dragoni, z których 200, przybranych w najświetniejszą czerwień, należało do Stanisława Alberta Radziwiłła, wreszcie 200 jezdnych z najznakomitszej szlachty, przybranych w żupany ze złotogłowiu, suknie ze złoczonej perskiej tkaniny, futrami soboli lub panter podbite, w czapkach futrem wykładanych z diamentowych zapłą-

mi przy kitach. Wszyscy mieli u łęku siodła karabele w pochwach ze złota lub złoczonego srebra, usianych drogiemi kamieniami. Niemniej strojnie niż jeźdźcy przybrane były rumaki. Zachwycony Le Laboureur pisał: „wszystko to, co Grecy pisali o bogactwie i zbytku Persów starożytnych, nie da się porównać z tym, cośmy widzieli, i trudno nam dziś samym już uwierzyć, żeśmy widzieli to naprawdę”.

Dopiero za tymi strojnymi, sprawnie, bojowo uszykowanymi hufcami jechali biskupi: kujawski, warmiński i kamieniecki, ks. Karol, poseł Francji de Brégy i marszałek hr. Denhof. Za nimi jechało sześciu trębaczy. Z bramy miejskiej wyszli pieszo burmistrzowie i na srebrnej tacy podali królowej klucze miasta. Syndyk miejski wygłosił stosowną, kwiecistą orację, 150 dział fortecznych z twierdzy nadmorskiej w Wisłoujściu i 50 z miasta dało salwę i karoca królowej wraz z towarzyszącym jej orszakiem francuskim i polskim wjechała wśród wiewatów mieszczan gdańskich w ulicę miasta.

Na ulicy Długiej, tej sławnej „Dro-
dze Królewskiej”, królową powitały
dwie wielkie bramy tryumfalne, umie-
szczone tam łańskie napisy sławiące
wielkie dzieła i zwycięstwa kró-

łów polskich. Odezwał się chór umiesz-
czony na ogromnej galerii. Następnie
biało ubrane dzieci odegrały ma-
łe „teatrum”.

Uroczystości w Gdańsku trwały 10
dni. Le Laboureur opisywał wszystko
wytrwale. Oto na przykład opis bie-
siady, którą miasto urządziło na spo-
sób polski.

„Zastawa była wspaniała. Szczególną uwagę zwracały trzy wielkie piramidy z cukru, lśniące złotem i ozdobione postaciami alegorycznymi orłami i rozmaitymi napisami. Królową obsługiwał wielki krajczy Jerzy Ossoliński, i wielki podczaszy Franciszek Ossoliński. Oprócz nich przy stole usługiwało 50 szlachty. Podczas biesiady koncertowała „ku ogólnemu zadowoleniu” sławna w całej Europie kapela królewska, którą Władysław IV wielkim kosztem utrzymywał na zamku warszawskim. Biesiada, jak powiedziano, urządzona była na sposób polski. Królowej, nie przyzwyczajonej do naszej kuchni, sładz nie smakowały dania mięsne, zjadła z nich bowiem tylko — dwie kuropatwy, lecz te były przyprawione po francusku.”

Nadesłał Z. Brocki

TORUŃSKIE PIERNIKI

Jadąc do Gdańska w 1825 r. Fryderyk Chopin, lat wówczas 15 liczący zwiedził miasto rodzinne Kopernika. Zabytkom Torunia poświęcił wiele miejsca w swym liście do kolegi szkolnego Jana Matuszyńskiego. Píše więc, że widział dom, w którym się urodził Kopernik i uznał, że „całe to miejsce (jest) teraz nieco sprofanowane”, w „tym pokoju, gdzie (...) sławny astronom życiem udarowany został” przebywa bowiem jakiś Niemiec, który „nic nie zważa, kto w tym domu mieszkał” i pozwala, by po ścianach chodziły pluskwy...

Oglądał starą „fortyfikację ze wszystkich stron miasta, ze wszystkimi szczegółami”, „sławną maszynę do przenoszenia piasku z jednego miejsca na drugie, maszynę składu jak najprostszego, nader interesującą”.

„kościół gotyckiej budowy”, „wieżę pochylą” oraz ratusz, którego „największą osobliwością jest to, iż ma tyle okien, ile dni w roku, tyle sal, ile miesięcy, tyle pokoi, ile tygodni”, a cała ta budowla „jest najwspanialszą, w guście gotyckim”.

„Największą impresję” na młodym Chopinie zrobiła jednak sławna specjalność Torunia — pierniki (jeden z nich wysłał nawet do Warszawy). Piernikom poświęca kilka zdań w tymże liście do Matuszyńskiego; między innymi pisze, że „podług zwyczaju tutejszego piernikarzy, sklepy do pierników są to sienie, obstawione skrzyniami, na klucze dobrze zamkniętymi, w których rozgatunkowane, w tuziny ułożone pierniki spoczywają”.

Nadesłał Z. Brocki

W KOLIBIE

Obejrawszy Smereczyn, dostaliśmy się do Koliby (zowią budę pasterza, których zowią juhasami, a gospodarza nad nimi gazdą). Jakże zdziwieni zostaliśmy widząc wśród gór mężczyzn zadziwiającej piękności w całej budowie ciała, o odsobnionych od swoich dziedzin, żyjących mlekiem owczym (zwanym żętycą), twarogiem i wodą źródlaną. Na pozór tak lichy pokarm jest dla nich najposilniejszą potrawą i nigdzie w życiu moim nie widziałem tak mężczyzn pięknych i dobrej tuszy, postawa ciała najprościejsza, wyraz twarzy jest myślący, a oko okazuje wesołego i dowcipnego człowieka, chód mają tak lekki, że zdają się nie dotykać stopami ziemi chodząc po górach. Włosy powszechnie noszą długie na bokach czola w warkocze splecione, całe cia-

ło jako też i ubiór będąc w górach smarują masłem owczym, koszula krótka świeci się od tłustości, pas szeroki ścisła im boki, spodnie zawsze opięte wełniane i białe, gunia krótka bura, kapelusik małutki i trepcie, które przymocowane do nóg rzemieniami, są dogodniejsze do chodzenia nad wszelkie inne obuwie. Ubiór taki sam we wsiach zwanych dziedzinami, tylko koszula zawsze biała i cienka. Kobiety powszechnie mniej są piękniejsze od mężczyzn, lecz dowcipne w swoich odpowiedziach i ochędostwo jest im właściwe”.

(Jan Wincenty Smoniewski Dziennik wykazujący podróże od roku 1912, rękopis nr 503 Biblioteki PAN w Krakowie, nadesłał J. Dużyk)

NIEDAWNO ODWIEDZIŁ KRAKÓW CZŁOWY ALPINISTA BULGARSKI ENCZO PETKOW. ZAPOZNAWSZY SIĘ Z „ZIEMIĄ” PETKOW POPROSIŁ SWOICH PRZYJACIÓŁ ABY ZAPRNUMEROWALI MU NASZ MIESIĘCZNIK ZE ZLECENIEM WYSYŁKI ZA GRANICĄ.



Odpowiednią sumę (19.50 zł za kwartał, 39 za półrocze i 78 zł za rok) wpłaca się na konto PKO nr I-6-100024 z zaznaczeniem adresu tej osoby za granicą, dla której ZIEMIA jest przeznaczona. Kolportażem zajmuje się PKWZ „Ruch”, w Warszawie, ul. Wilcza 46. Tam też należy kierować ewentualne reklamacje. Przypominamy, że termin zamówienia prenumeraty na IV kwartał b. r. upływa 10 września.

Czy wiecie co robili w Polsce don Jose Luis oraz jego przyjaciele Potonio i Vincente członkowie Gruppo Espeleologico Edelweis z Burgos w Hiszpanii? Możecie o tym przeczytać w następnym numerze ZIEMI



O STROJU PÓLNOCNYCH POGAN

DOKOŃCZENIE ZE STR. 23

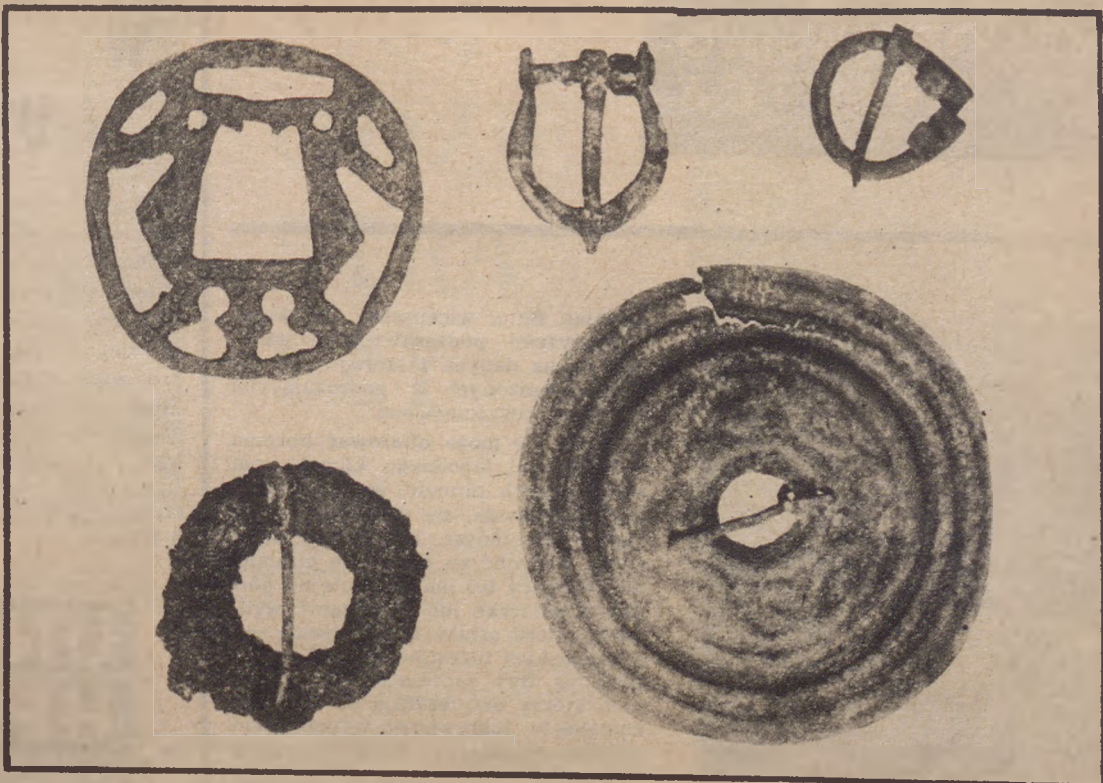
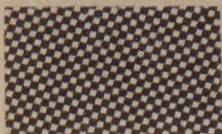
dy wykopany szczególnie ma tu nie małą wartość. Zresztą ze znalezionych w równińskich grobach resztek można już jako tako zrekonstruować strój pruskiej niewiasty sprzed ośmiu wieków.

I tak bardzo charakterystycznym strojem głowy był ozdobny diadem z brązowej blachy. Diadem ten jednak stanowił nie tylko ozdobę. Służył on również zapewne do podtrzymywania upiętych włosów lub welonu, o czym świadcząby resztki znalezione wokół niego. W uszach nosiły kobiety druciane kolczyki z paciorkami opatrzone niekiedy maleńkimi dzwoneczkami. Przypominało to nieco dzisiejsze klipsy. Szyję zdobiły rzędy paciorków z kolorowego szkła, bursztynu a czasem nawet ze srebra. Niektóre z kobiet (prawdopodobnie zamożniejsze) pochowano w naszyjnikach składających się z kilkunastu sznurów paciorków, przetykanych muszelkami nadśrodiemnomorskiego pochodzenia, plakietkami z ołowiu lub cyny, a także brązowymi dzwoneczkami. Do zapinania szat, chust i welonów używały mieszkanki pruskich osad różnego rodzaju zapinek, o rozmaitej wielkości i kształtach. Ponadto w czasie wykopalisk natrafiono na rozmaitego rodzaju pierścionki, sprzączki i amulety z brązu, srebra i żelaza, bogato zdobione nożyki a także na obśzyte dzwoneczki skórzane obuwie.

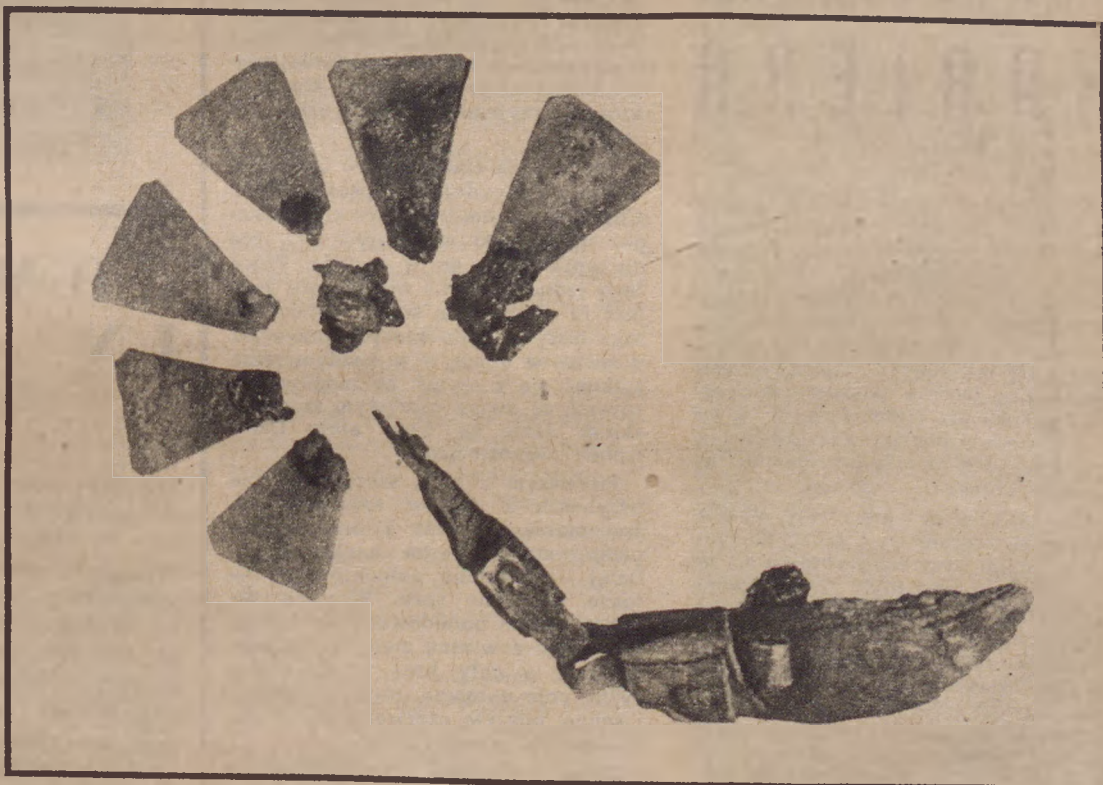
A jak wyglądały tkaniny, z których pruskie kobiety szły swe szaty? Jak wykazała analiza resztek tkanin znalezionych w grobach, używano tu materiałów w kilku rodzajach. Wykonanie tych tkanin stało na stosunkowo wysokim poziomie technicznym. Odkryto np. w tkaninach z wełny owczej domieszkę włosa sarny lub jelenia. Znalaziono krajkę utkaną na prymitywnych krosnach tabliczkowych. Co ciekawsze, w czasie analizy rozpoznano kolory znalezionych resztek tkanin. Okazuje się że Prusowie używali barwy brązowej, czerwonej, zielonej, czarnej i naturalnej — białej. Jak widać, gama barw była dość szeroka.

Oczywiście trudno na podstawie tych wszystkich znalezisk mówić o kompletnym stroju pruskich kobiet. Istnienia niektórych szczegółów, jak np. wianków z kwieciami, zausznic z jarzębiny, kory, żołądźmi i kasztanów możemy się tylko domyślać. Być może dalsze wykopaliska rzucą pewne dodatkowe światło na te zagadnienia. Nie mniej musimy się liczyć z tym, że pewne dziedziny kultury materialnej naszych dawnych północnych sąsiadów pozostaną dla nas na zawsze nie wyjaśnione.

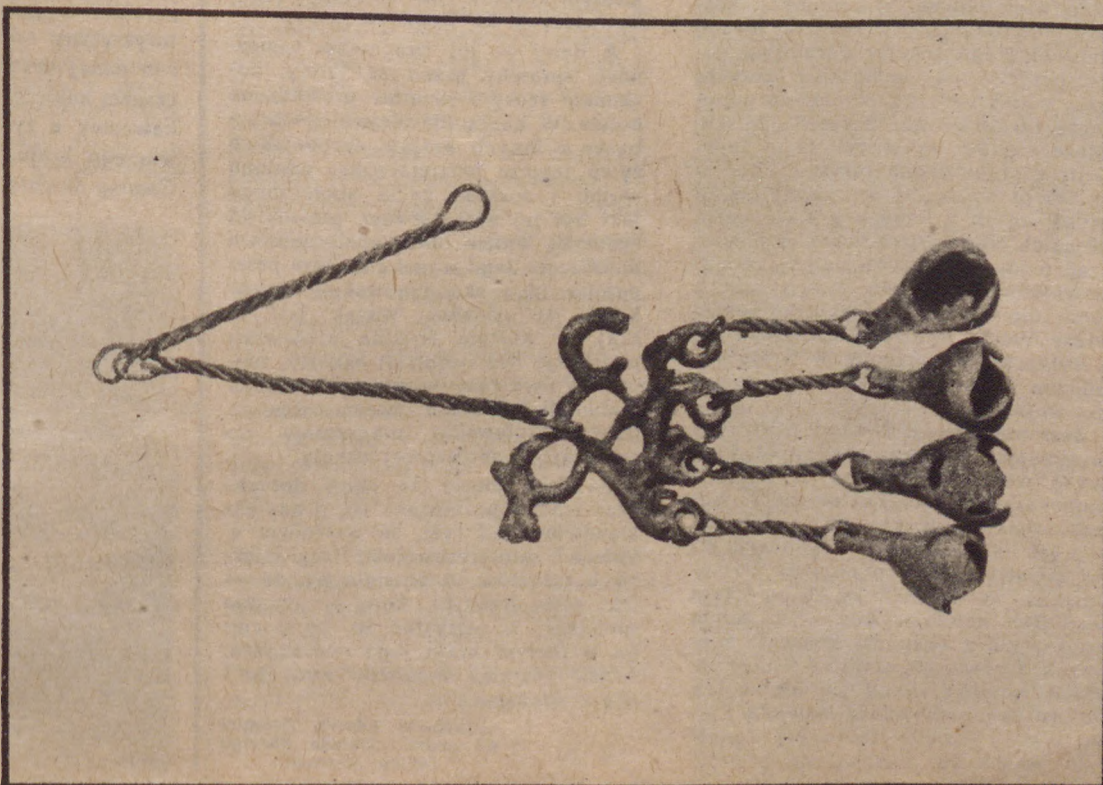
Co jednak już dziś możemy powiedzieć na podstawie wykopalisk? Sam choćby krótki przegląd ozdób stroju kobiety pruskiej stawia pod dużym znakiem zapytania teorie niektórych uczonych opowiadające o przesadnie niskim poziomie kultury wytopionych przez Krzyżaków „północnych barbarzyńców”.



METALOWE ZAPINKI ZNALEZIONE W ŚREDNIOWIECZNYCH GROBACH PRUSKICH NA MAZURACH



POWYŻEJ — AMULET PRUSKI Z KŁA NIEDŹWIEDZIA. ZDJĘCIE U DOŁU — WISIOREK Z BRĄZU





TURYSTYCZNA KARIERA

Po ostatniej wojnie zaobserwowano w krajach Europy zachodniej wręcz żywiołowy rozwój turystyki. Podróże przestały być luksusem a liczne biura turystyczne wszystkich krajów prześcigają się w usługach wobec własnego i cudzoziemskiego turysty. Znosi się też między poszczególnymi państwami bariery paszportowe i celne. Wysoka przeciętna stopa życiowa i dążenie do obniżki kosztów usług turystycznych nadają powojennej turystyce kolosalny rozmach.

Ba, nawet u nas przeciętny amator turystyki zagranicznej może stosunkowo tanim kosztem wybrać się... w „obszar konwencyjny” Tatr Słowackich. Przypomina on wprawdzie nieco dziewiętnastowieczny północno-amerykański rezerwat, w którym żyli swoim „własnym życiem” spacyfikowani Apacze i Nawajowie, ale bo też i owi turyści jeżeli nawet obyczajami nie przypominają pobratymców Winnetou, to w każdym razie niejednokrotnie półdzikich białych handlarzy preri.

W powojennej Europie obok takich z dawien dawna atrakcyjnych krajów jak Francja czy Włochy, uwagę zagranicznego turysty zaczynają coraz bardziej przyciągać kraje dotychczas mniej pod tym względem popularne. Do nich może należeć i Polska. Może — o ile oczywiście zdoła zapewnić zagranicznemu turyście choć w części te niezbędne wygody i jakimi styka się on w innych krajach europejskich. Nie warto tu zresztą powtarzać tego, co się na temat braku odpowiednich urządzeń turystycznych obszernie pisze na łamach naszej prasy. Warto natomiast zapoznać się z sytuacją jaka panuje w kraju robiącym turystyczną karierę dopiero po wojnie.

Jest nim Dania. Nizinny półwysep wrzynający się wraz z archipelagiem wysp we wcale nie najcieplejsze i najbardziej malownicze morze. A jednak obok tradycyjnych źródeł dewiz jak eksport masła, bekonów i jaj na czwartym miejscu pojawia się turystyka. W r. 1955 Dania uzyskała stąd 310 milionów koron, a zatem więcej niż z eksportu konserw mięsnych, serów, ryb, statków i dieslowskich motorów. Skąd się bierze ten wzrost zainteresowania małańką i — na pozór — mało atrakcyjną Danią? Odpowiedzi na to stara się udzielić

Kristjan Bure, wiceprezes duńskiego towarzystwa podróżniczego, opierając się na danych z szeregu rozmów przeprowadzonych z podróżującymi po Danii cudzoziemcami.

Dania nie może ofiarować obcemu turyście ani łagodnego klimatu, ani egzotycznych piramid, ani potężnych gór. To prawda, ale z drugiej strony Dania jest tańsza. Nie każdy może sobie pozwolić na oglądanie piramid. Nie wszyscy też mają ochotę na górską wspinaczkę lub zwiedzanie słynnych galerii sztuki. Liczną rzeszę cudzoziemskich turystów dzieli Kristian Bure na trzy zasadnicze grupy: takich którzy przyjeżdżają do wielkich centrów rozrywkowo-wypoczynkowych i mieszkają w nich przez cały czas pobytu w Danii; turystów przenoszących się z miejsca na miejsce i wreszcie takich, którzy przybyli do Danii w ściśle określonym celu, interesując się np. archeologią, sztuką lub historią. Do nich zalicza zresztą również i wędkarzy. Najbardziej spośród nich wymagającymi są turyści wędrowni, ale też oni są później najcenniejszymi propagatorami kraju, w którym przyjemnie spędzili urlop lub wakacje.

Czego żąda cudzoziemiec od kraju, w którym decyduje się spędzić urlop? Chciałby w nim zobaczyć coś nowego, nieznanego mu dotychczas, coś co sprawiłoby go w podziw. Prócz tego jednak pragnie on na ogół znaleźć tu w pewnym sensie odpowiedniki instytucji, do których przywykł u siebie w domu, a w każdym razie zetknąć się z czymś, co mógłby porównać ze swym ojczystym środowiskiem. Jakie są więc atuty Danii wobec cudzoziemców?

Pierwszym z nich, szczególnie dla przybysza z państw śródlądowych, jest morze. A wraz z nim szeregi piaszczystych wydm nadbrzeżnych. Dalej — nieznanne południowcom — jasne, północne noce. Wreszcie łagodny, lekko pofałdowany krajobraz, w którym z wiosną zieleńią się lasy bukowe, a cały kraj wygląda jak żywe pole uprawne, ruchliwa stolica i senna, pokryte czerwonymi dachówkami miasteczka prowincjonalne.

Życie codzienne Duńczyków to wdzięczny obiekt dla żadnego obserwatora porównawczego cudzoziemca. Czystość, porządek i życzliwość na każdym kroku — oto co uderza przybywających do Danii turystów.

A dalej — jej pracowita zamożność, sprawny przemysł, farmy, doskonałe szosy i świetnie prowadzone hotele. W końcu dla niejednego przybysza z innych krajów europejskich żywo jeszcze pamiętającego minioną wojnę i rozkład życia społecznego jaki był jej następstwem, prawdziwą egzotyką będzie obraz społeczeństwa duńskiego. Jego wysoka kultura przepełniona ideą skandynawskiej demokracji na codzień. Wszak jest to kraj, w którym rodzina królewska podróżuje bez osobistej eskorty, monarcha dwa razy w miesiącu udziela audiencji wszelkim interesantom, a dzieci królewskie uczęszczają do zwyczajnej miejscowej szkoły.

Aż dziw bierze, że jakoś dotychczas rzadko próbowano się u nas zastanawiać nad tym, co właściwie w Polsce zainteresowałoby zagranicznych turystów. A pamiętajmy, że — jak pisze Kristjan Bure — „trudno mniemać, iż wszystko to, co pociąga w danym kraju jego mieszkańca, będzie również stanowiło atrakcję i dla cudzoziemca”.

opracował Leszek Dzięgieł
na podst. „Danish Foreign
Office Journal”

W AUSTRII

najliczniejszym stowarzyszeniem krajoznawczym jest *Verein von Landeskunde von Niederösterreich und Wien*¹. Wiadomość tę podaje organ *Vereinu*, miesięcznik *Unsere Heimat* dodając, że jest to także najliczniejsza organizacja na terenie całego „niemieckiego obszaru językowego”. *Verein* liczy obecnie 1204 członków rzeczywistych, przy czym wielu z

¹ Związek Krajoznawczy Dolnej Austrii i Wiednia.



COMING EVENTS IN FINLAND

jest ilustrowanym informatorem przeznaczonym dla cudzoziemskich turystów odwiedzających Finlandię. Wydaje go co miesiąc w języku angielskim Fińskie Towarzystwo Turystyczne. W tego rodzaju wydawnictwach na ogół niewiele można znaleźć informacji krajoznawczych. Reklamują one bowiem przeważnie w sposób dość powierzchowny „sztandarowe” atrakcje danego kraju. Wygląda to tak, jak np. jakaś nasza popularna publikacja zagraniczna propagująca Tatry z Podhalem lub Pojezierze Mazurskie. A jednak, jeżeli informator turystyczny redagowany jest w sposób mniej szablonowy, można w nim czasem znaleźć sporo nieznanego ciekawostek z życia i krajobrazu omawianego kraju. Tak jest w wypadku *Coming Events in Finland*. Obok bo-



nich to szkoły (174) lub kasy pożyczkowe (17). O popularności krajoznawstwa i dużej liczbie krajoznawczych stowarzyszeń w Austrii mógłby świadczyć fakt, że *Verein* wymienia swoje pismo za 166 różnych czasopism wydawanych przez pokrewne organizacje. Przepuszczenia te potwierdził speleolog z Salzburga p. inż. Seiser, który niedawno bawił w Krakowie.

W jego rodzinnym mieście na przykład istnieją dwa odrębne stowarzyszenia o charakterze krajoznawczym. Jedno, to posiadające własne czasopismo towarzystwo miłośników historii i zabytków miasta, a drugie — klub speleologiczny, zrzeszający amatorów badania jaskiń, których wiele jest w okolicy.

Choć wspomniana *Unsere Heimat* jest miesięcznikiem popularnonaukowym, wiele drukowanych na jej łamach prac ma charakter przyczynkarskich publikacji naukowych. Np. artykuł Stefana Denka informuje o odkrytych ostatnio w okolicy Wiednia stanowiskach archeologicznych z okresu rzymskiego; F. Schmutz-Hobertchen ogłasza krótką pracę o pasterskiej pieśni religijnej. Lothar Mechney rozważa zagadnienia ochrony przyrody w okolicach Wiednia. Całości pisma dopełniają liczne drobne notatki informacyjne z zakresu historii, historii sztuki, etnografii, muzykologii oraz wiadomości organizacyjne i informacyjne bibliograficzne. (P. S)

wiem typowych krótkich informacji na temat połączeń kolejowych i lotniczych, hoteli i turystycznego kursu walutowego, widzimy tu artykuły z dziedziny historii i kultury Finlandii. I już z tego bądź co bądź skąpego źródła informacji spostrzegamy jak nikła jest u nas znajomość kultury i życia narodu fińskiego. Cóż wiemy np. o fińskich uniwersytetach, o malarstwie lub o rzemiośle artystycznym tego kraju tak stosunkowo silnie oddziaływającym na jego wytwórczość przemysłową? Co możemy powiedzieć o Finlandii — kraju tysięcy jezior? Jeden z jej regionów — Laponię — spopularyzował nieco wyświetlany u nas rok temu film „Białe ren” ale poza tym wiedza wielu Polaków o Finach nie bardzo odbiega od niejasnych poglądów pana Zagłoby na temat „Hyperborejów”. Tyle, że teraz już wiemy, iż są oni po skandynawsku dzielni, czysti i uczciwi. A także, że mają dobrych biegaczy i bokserów. Mały naród fiński o nie ekspandującej choć wysokiej kulturze pozostawał u nas nieznanym, nie zawsze zresztą z naszej winy. Ostatnio dopiero tu i ówdzie zaczyna się u nas o Finlandii pisać. Korzystając z uzyskania szeregu fińskich publikacji już w najbliższych numerach ZIEMI podzielimy się z Czytelnikami rezultatami działalności tamtejszych krajoznawców badających kulturę swego północnego narodu, w której splatają się pierwiastki dwu cywilizacji: Zachodu i Wschodu.

(L. Z.)



WIOSKI IZRAELSKIEGO P O G R A N I C Z A

Dzień i noc w rowach strzeleckich czuwają uzbrojeni ludzie. Sterczą lufy karabinów maszynowych wymierzonych w spaloną słońcem pustynię. Nocą raz po raz omiatają przedpole reflektory. Obsługa podziemnych punktów amunicyjnych i sanitarnych gotowa jest w każdej chwili do podjęcia akcji. W każdej chwili któraś z wież obserwacyjnych może nadać sygnał alarmu.

Wzdłuż całej lądowej granicy izraelskiej ciągnie się łańcuch osad o bardzo specyficznym charakterze. Ale bo też i sytuacja na granicach tego państwa jest również bardzo specyficzna. Nie snormowane stosunki polityczne sprawiają, że życie po obu stronach granicy nie należy do bezpiecznych. Raz po raz dowiadujemy się z radia i prasy o „nadgranicznych incydentach”, w rezultacie których paru Żydów lub Arabów traci życie. Spójrzmy jak żyją po izraelskiej stronie granicy ludzie narażeni na takie „incydenty”.

Obojętne czy dzieje się to na pustyni Negew, czy w ewangelicznej Galilei, czy w tak zwanym „Jerozolimskim Korytarzu”, wszędzie wzdłuż swych granic jeży się państwo żydowskie szeregiem silnie ufortyfikowanych osiedli rolniczych. Ta izraelska sieć placówek obrony narodowej charakterem swym przypomina nieco organizację obronną Szwajcarii. W myśl hasła „ze statku na farmę”, masy imigrantów kieruje się obecnie przede wszystkim do tych nadgranicznych osad. Tam otrzymują oni jednakowo pobudowane z „betonu i szkła” zagrody, żywy inwentarz i narzędzia rolnicze. Specjalni instruktorzy prowadzą tu kursy rolnicze, uczą zasad higieny, pierwszej pomocy, pielęgnowania dzieci i obchodzenia się z nowoczesnymi maszynami. Ponadto dla przybyszów organizuje się lekcje języka hebrajskiego. Wszyscy też mieszkańcy biorą udział w ćwiczeniach wojsko-

wych. Władze dbają o to, by nie rozbić przybywających grup imigranckich, lecz przeciwnie, osiedlają je razem. Ma to dopomóc w wytworzeniu się więzi społecznej nowych osad. Wsie głównie opierają swój byt na rolnictwie, jakkolwiek zajmują się również i drobną wytwórczością rzemieślniczą. W znacznej mierze mogą one liczyć na pomoc finansową rządu, który wiele sobie po tym osadnictwie obiecuje. Wsie żydowskie żyją tu pod znakiem spółdzielczości. Trudne a nawet wręcz niebezpieczne warunki lokalne zmusiły już dawno Żydów do tego rodzaju gospodarki w Palestynie. Indywidualnie gospodarujący farmer byłby bezsilny wobec pustyni i wrogich sąsiadów. Spółdzielnie nadgranicznych osad dzielą się na dwa rodzaje. Pierwszy z nich „moszawim” — to zespoły indywidualnych farmerów wspólnie tylko handlujących i razem korzystających z parku maszynowego. Drugi „kibuczim” — to powszechnie znana już dziś na świecie żydowska wspólnota gospodarza, w której nawet dzieci wychowuje się wspólnie.

Nie w spółdzielczości jednak leży oczywiście specyfika wsi izraelskiego pogranicza. Tego rodzaju bowiem organizmy gospodarcze istnieją i w głębi kraju. Nadgraniczne wioski mają za cel obronę. Stąd duża rola jaką odgrywają w nich osiedleńcy rekrutujący się z byłych wojskowych. Wszyscy dorośli mieszkańcy osad wciągnięci są w rozbudowany system wart i patroli. Dotyczy to w równej mierze mężczyzn i kobiet. Każda z tych umocnionych wsi wyposażona jest w nowoczesną broń i amunicję. Na noc umieszczają się dzieci w podziemnych betonowych schronach. Stan zbrojnego pogotowia jest już od lat jedną z części składowych życia mieszkańców tych osad.

na podstawie „Israel and Middle East” opracował L. Z.



TAM GDZIE STRA- SZY

Czy wiecie o tym, że pod koniec ubiegłego roku ukazał się w Wielkiej Brytanii najprawdziwszy przewodnik po „miejscach, w których strasz”? Napisał go Joseph B r a d d o c k, który jednak z żalem przyznaje, że jemu samemu nigdy ducha nie udało się zobaczyć. A polował na te nadnaturalne istoty już od czasów dzieciństwa, kiedy to Boże Narodzenie spędzał co roku u krewnych w Lancashire. Mieszkali oni w domu „nawiedzonym” przez jakąś łagodną acz jęczącą po nocach tajemniczą damę.

Pisząc swe *Hunted Houses* Brad-dock zbierał zarówno wiadomości z literatury jak i ustne relacje od „nauocznych świadków”. Jeden z rozdziałów książki poświęcony jest całemu bezskutecznym łowom na upiora, jakie urządził autor w pewnym zakątku południowo-zachodniej Anglii. W przewodniku uwzględniono również londyńskie teatry. Szczególnie sympatyczny duch straszy podobno w Theatre Royal. W swej życzliwości wobec aktorów posuwa się on tak daleko, że nie szczędzi im dyskretnych napomnień, jeżeli uważa, iż kreacje ich nie są bez zarzutu.

A jak jest u nas? Niestety obie wojny niszcząc tak wiele szacownych i zabytkowych budowli, nie oszczędziły zdaje się i ich „mieszkańców”. Zresztą zbyt wielu rzeczy musieliśmy się lękać w biały dzień, abyśmy nocą mogli być naprawdę wdzięcznym obiektem dla rodzimych straszylek. Sytuację jeszcze bardziej komplikują trudne warunki mieszkaniowe. Ci, którzy czytali *Ducha z Kenterwilu* Wilde'a rozumieją, jak ciężką i skomplikowaną pracą jest straszenie ludzi nawet w rozległym zamku. A cóż dopiero w zatłoczonym mieszkaniu, zajmowanym przez 3—4 rodziny. Tu lokator, o ile nawet zwróci uwagę na upiorne szepty, jęki lub dzwonienie łańcuchami — co najwyższej rankiem zrobi awanturę sąsiadom. To tylko żyjący spokojnym i ustabilizowanym życiem Brytyjczyk pozwolić sobie może na luksus posiadania własnego ducha, który by go straszyl. I jeszcze chyba nie prędko nasze polskie strachy znajdą warunki pozwalające im na normalną, rozłożoną na dziesiątki a nawet na setki lat działalność. Musimy im chyba trochę pomóc. Dotychczas w ich obronie wystąpił „Przekrój” — na ostatniej stronie. A może by zinentaryzować ich wielowiekowy „dorobek”? Kto wie czy niejedna zabytkowa budowla nie ocalałaby łatwiej przed zniszczeniem i rozbiórką, jeśli wiadomo będzie, że mieszka w niej jakieś niewidzialne wprawdzie, lecz dostojne straszyle?

(L. Z.)



Zdawaloby się, że świat, w którym życie wypełniony jest nudą. Ze cokolwiek dzieje się na kuli ziemskiej ciekawego, zawsze dziać się musi gdzieś daleko, w egzotycznych, dla nas niedostępnych krajach

CZY NAPRAWDĘ TAK JEST?

Zastanówcie się i rozejrzyjcie. W waszym najbliższym otoczeniu kryje się wiele dziwów i zagadek. W Polsce można jeszcze znaleźć tyle egzotyki co w niejednym kraju opisywanym w podróżniczych powieściach.

Czy chcecie wyrwać się z nudnej codzienności, odbyć ciekawe wędrowki, dokonać cennych dla nauki odkryć — spędzając jednocześnie wiele godzin na interesującej rozrywce? Zajmijcie się krajoznawstwem. Jak? O tym zdecydujecie sami, pomoże wam w tym nasz miesięcznik, a w szczególności —

DZIAŁ MŁODYCH KRAJOZNAWCÓW

Z czasem jego łamy będziecie wypełniać wy sami. Piszcie więc do nas we wszystkich sprawach, które was w krajoznawczej działalności interesują. Będziemy odpowiadać na wasze pytania, informować, radzić. Zapraszamy do współpracy wszystkich młodych — uczniów i harcerzy, turystów i krajoznawców, a także ich starszych przyjaciół — nauczycieli i działaczy harcerskich.



O WSKRZESZENIE „ORLEGO LOTU”

MARIAN GOTKIEWICZ

Do spopularyzowania idei krajoznawczej wśród młodzieży szkolnej w okresie przedwojennym walczył przychylnie się miesięcznik *Orlil Lot* wychodzący od kwietnia 1920 r. do sierpnia 1939 r. w Krakowie pod redakcją prof. Leopolda Węgrzynowicza.

W pierwszych paru rocznikach tego czasopisma przeważały artykuły naukowców związanych z ruchem krajoznawczym w Polsce. Byli wśród nich geografowie (prof. Ludomir Sawicki, dr. St. Niemcówna, dr. A. Gadowski), przyrodnicy (prof. Wł. Szaffer, prof. St. Sokołowski, B. Dyakowski), astronomowie (dr Jan Gadowski, L. Orkisz), historycy (prof. Wł. Semkowicz, dr. Jerzy Dobrzycki), etnografowie (Seweryn Udziela, dr. J. Seweryn), lingwiści (prof. K. Nitsch, prof. W. Taszycki), literaci (Jan Wiktor) i tacy pionierzy krajoznawstwa jak. Al. Janowski i K. Sosnowski.

Z biegiem czasu poczęły się jednak coraz częściej ukazywać numery *Orlego Lotu* wypełnione pracami młodzieży szkolnej. Na takie monograficzne opracowanie miejscowości zdobyło się jedno z pierwszych kół krajoznawczych szkół powszechnej w Piaskach Lubelskich. Na łamach własnego pisemka *Nasza Szkoła* dzieci z Piasków opublikowały bogaty i ciekawy materiał krajoznawczy, odnoszący się do ich miejscowości.

Materiał ten został następnie przedrukowany w *Orlim Locie* jako zachęta i przykład do naśladowania dla innych kółek. Cennego materiału poczęło dostarczać redakcji *Orlego Lotu* koło krajoznawcze w Bochni, prowadzone przez prof. St. Warcholika a później przez prof. Galasa. Później posypały się monograficzne opisy miejscowości nadsyłane przez liczne koła z całej Polski, których tutaj nie sposób wszystkich wymienić.

Taką właśnie samodzielną pracą młodzieży mającą za cel poznanie środowiska, prowadzoną pod kierunkiem nauczyciela opiekującego się kołem, uznał redaktor Węgrzynowicz za najpożyteczniejszą, bo opartą na konkretach. Wiązała ona młodzież uczuciowo z ziemią rodzinną, z zabytkami jej przeszłości i przyrody, bo uwrażliwiała młode serca na piękno swojskiego krajobrazu, swojskiej kultury ludowej, zwracała uwagę na wartości o znaczeniu ogólnonarodowym i uczyła dostrzegać przemiany dokonujące się współcześnie w życiu gospodarczym i społecznym w Polsce.

W r. 1927 powstała Komisja Kół Krajoznawczych Młodzieży Szkolnej PTK; zadaniem jej było nadawać działalności podległych kół kierunek ideowy, koordynować poczynania

tych kół na terenie całego państwa właśnie za pośrednictwem *Orlego Lotu*. Prezesem został prof. Węgrzynowicz, do Komisji weszli prof. Piotr Galas, prof. Józefa Berggruen, dr Maria Dobrowolska, dr Maria Medwecka, dyr. Zofia Richterówna, dr Tadeusz Seweryn i dr Jadwiga Klimaszewska.

Komisja starając się nadać jednolity kierunek pracy kół krajoznawczych poczęła ogłaszać w *Orlim Locie* konkursy, kwestionariusze i ankiety pobudzające młodzież do podejmowania samodzielnych zadań. Na podstawie tych ankiet i instrukcji młodzież spisywała zwyczaje, obrzędy, wierzenia, legendy, gry i zabawy ludowe, inwentaryzowała zabytki sztuki ludowej, zabytki przyrody żywej i nieożywionej, robiła spostrzeżenia gwarowe, geomorfologiczne, fenologiczne, zbierała wiadomości o życiu wybitnych jednostek związanych z danym regionem, opiekowała się ich grobami, czciła ich pamięć organizując różne obchody.

W *Orlim Locie* drukowano co cenniejsze opisy miejscowości, wycieczek i sprawozdań z obozów wędrownych, reprodukowano ciekawsze zdjęcia fotograficzne, rysunki i plany.

Od roku 1929 do *Orlego Lotu* dołączane były bezpłatne dodatki: *Ochrona Przyrody* (z zasiłku Państw. Rady Ochrony Przyrody) a od r. 1930 także dodatek *Skarbiec* poświęcony ochronie zabytków sztuki.

Kwestionariusze wraz z instrukcjami opracowywali wybitni uczeni z różnych dziedzin nauki, którym zależało na tym, aby zdobyć interesujący

Pisze do nas prof. Węgrzynowicz

Wszyscy krajoznawcy

a szczególnie nauczycielstwo i młodzież szkolna z radością witają inicjatywę Redakcji „Ziemi” otwarcia działu krajoznawstwa młodzieżowego. Zapowiedź tego działu znajdujemy już w nrze 5 w artykule Mariana Gotkiewicza O wskrzeszenie krajoznawstwa w szkole. Dziś przy otwarciu działu młodzieżowego możemy zakomunikować, że krajoznawstwo w szkole zostało już wskrzeszone i to wskrzeszone przez naszą najwyższą instancję oświatową: przez Ministerstwo Oświaty.

Okólnik Ministerstwa Oświaty z dnia 16 lutego 1957 r. brzmi następująco: „W szkołach ogólnokształcących, zakładach kształcenia nauczycieli i w szkołach zawodowych podległych Ministerstwu Oświaty coraz intensywniej rozwija się młodzieżowy ruch krajoznawczo-turystyczny. Istniejące szkolne koła krajoznawczo-turystyczne w tych szkołach mają poważny dorobek, budzą zainteresowanie młodzieży krajoznawstwem i turystyką. Przez stosowanie różnych form pracy przyczyniają się do lepszego poznania piękna kraju oraz teraźniejszości i przeszłości naszej ojczyzny. Dla wytyczenia temu ruchowi właściwego kierunku działalności oraz jego organizacyjnego uporządkowania zatwierdzam przykładowy regulamin dla szkolnych kół krajoznawczo-turystycznych i ustaliam nazwę kół: Szkolne Koło Krajoznawczo-Turystyczne”.

Ministerstwo Oświaty nie tylko więc wskrzesza Koła krajoznawczo-turystyczne, ale ujmuje w swe ręce inicjatywę i kierownictwo tymi kołami. Ministerstwo Oświaty powołuje do życia Wydział Krajoznawstwa i Turystyki, któremu powierza sprawy krajoznawstwa młodzieżowego, a obok Wydziału powołuje Minister Oświaty jako instytucję doradczą Komisję dla Krajoznawstwa i Turystyki Młodzieży. Przy wojewódzkich Wydziałach Oświaty powstają Ośrodki Krajoznawczo-turystyczne, a obok nich Rady Metodyczno-Naukowe, które mają współpracować

z ośrodkami na polu naukowym i wychowawczym.

Tak więc ożyło krajoznawstwo młodzieżowe dzięki mądrej i przewidującej inicjatywie Ministra Oświaty Władysława Bienkowskiego, który postanowił oprzeć system wychowawczy współczesnej szkoły na dwóch czynnikach: na harcerstwie i na krajoznawstwie. Krajoznawstwu więc przypada zaszczytna rola wychowawcy i budowniczego młodej Odrodzonej Polski.

Ażeby zachęcić młodzież do wycieczek krajoznawczych, ogłosiło Ministerstwo Oświaty konkurs krajoznawczo-turystyczny pod hasłem „Wędrujemy po rodzinnym kraju” oraz konkurs fotograficzny.

Dla zapewnienia wędrującej młodzieży opieki i noclegów organizuje Ministerstwo Oświaty szkolne schroniska wycieczkowe i wydaje „Szkolny informator wycieczkowy”, który „ma stanowić pomoc w pracy nauczycieli-opiekunów szkolnych kół krajoznawczo-turystycznych oraz wszystkich innych nauczycieli organizujących turystykę i krajoznawstwo wśród młodzieży szkolnej”.

Kiedy krajoznawstwo młodzieżowe znalazło w Ministerstwie Oświaty swoją ostoję a w Ministrze Władysławie Bienkowskim swego ordędownika, społeczna pomoc Redakcji „Ziemi” staje się bardzo zbawienna i pożądana, gdyż na ukazanie się specjalnego czasopisma poświęconego krajoznawstwu młodzieżowemu musimy czekać co najmniej do przyszłego roku. „Ziemia” więc jest tym czynnikiem organizacyjnym, który informować będzie o ruchu krajoznawczym młodzieży i otoczy opieką społeczną szkolne koła krajoznawczo-turystyczne, za co Redakcji „Ziemi” składam serdeczne podziękowanie.

Do młodzieży krajoznawczej i do opiekunów kół krajoznawczych zwracamy się z gorącym apelem, by zechcieli swą współpracą zasilić ten dział młodzieżowy.

Leopold Węgrzynowicz

**DOKOŃCZENIE
NA STR. 30**

Na zdjęciu z lewej: Minister Oświaty Władysław Bienkowski otwiera Szkolną Centralną Wystawę Krajoznawczo-Turystyczną w Warszawie. Po prawej stronie Józef Kuran, naczelnik Wydziału Krajoznawstwa i Turystyki przy Ministerstwie Oświaty. Po lewej stronie prof. Węgrzynowicz — przewodniczący Komisji dla Krajoznawstwa i Turystyki Młodzieży. Zdjęcie z prawej: prof. Leopold Węgrzynowicz ogląda prace młodzieży na Szkolnej Centralnej Wystawie Turystycznej w Warszawie.



O WSKRZESZENIE ORLEGO LOTU

DOKOŃCZENIE

materiał naukowy z całego terenu Polski. Materiały zebrane przez młodzież przedstawiały nieraz znaczną wartość naukową, jak tego dowodzą liczne wypowiedzi fachowców. Niektóre opracowania były nawet publikowane przez poważne instytucje naukowe.

Zbieranie materiałów krajoznawczych stanowiło czynność o wielkiej wartości wychowawczej, gdyż zmuszało młodzież do sumiennej pracy planowej, budząc w niej szczerą zainteresowanie danym zagadnieniem.

Wojna przerwała te poczynania, *Orli Lot* przestał w r. 1939 wychodzić. Zbiory krajoznawcze po większej części uległy zniszczeniu lub zaginęły. Zabrakło wielu zasłużonych pracowników. Po wojnie dopiero w r. 1947 poczęły się za zezwoleniem władz organizować kółka krajoznawcze i do-

piero w marcu tegoż roku ukazał się pierwszy numer *Orlego Lotu*. Redaktor L. Węgrzynowicz tak przemawiał w nim do młodych czytelników:

„...W numerze tym musiało się odbić wiele refleksów: i tęsknota redaktora do Kochanych Młodych Krajoznawców i pragnienie wznowienia pracy krajoznawczej i potrzeba przypomnienia, co przed wojną zrobiono na tym polu, i rok Kościuszkowski, i konieczność poznawania ziem odzyskanych, i fakt, że koła rozbudziły się do nowego życia, a wyrazem tego życia są obozy krajoznawcze, które miały przygotować młodych pionierów krajoznawstwa.”

Pragnieniem redakcji było, aby wszyscy młodzi krajoznawcy stworzyli straż nad zagrożonymi zabytkami kultury, sztuki i przyrody. Podczas pierwszego powojennego zjazdu kół krajoznawczych młodzieży szkolnej, jaki odbył się w Warszawie w dniach od 6—9 maja 1948 r., ówczesny prezes PTK prof. dr St. Leszczycki nakreślił szeroki program pracy

w zmienionych powojennych warunkach i obiecywał pomoc ze strony Komisji Kół Krajoznawczych oraz PTK: „...Na pomoc tę w swej pracy możecie liczyć. Rozpiszemy konkursy...praca musi być wytrwała, systematyczna. ...Najlepsze wyniki będą nagradzane i publikowane w waszym organie *Orlim Locie*. Równie Bolesław Bierut nie szczędził Zjazdowi słów zachęty. Niektórzy działacze wróżyli ruchowi krajoznawczemu młodzieży szkolnej wielką przyszłość licząc na to, że wobec zamierzeń dążących do rozwoju naszej turystyki i akcji wczasów o charakterze masowym, młodzi krajoznawcy obejmą w akcji tej rolę przewodnią a zasady ich pracy przenikną też do ogólnopolskich organizacji młodzieżowych.

Ale wąta roślinka jaką było wtedy odradzające się krajoznawstwo w szkole polskiej, pozbawiona faktycznie materialnej, a niestety i moralnej pomocy ze strony ówczesnych władz szkolnych — nie mogła sprostać tak wielkiemu zadaniu. Zagłuszyły ją

chwasty źle pojętej turystyki masowej, turystyki, która nie pogłębiała kultury mas wycieczkujących i która nie wiele miała wspólnego z szacownymi ideałami prawdziwego krajoznawstwa. *Orli Lot* nie zdołał w takich warunkach stać się czasopismem czytany przez młodzież, choć ideologia tego miesięcznika propagująca poznanie i poszanowanie swojszczyzny, umiłowanie ziemi ojczystej, przeszłości i kultury narodu oraz współczesnych jego osiągnięć zwłaszcza na polu gospodarczym, nie powinna była budzić żadnych zastrzeżeń.

W r. 1950 pismo to przestało wychodzić.

Czas najwyższy aby w okresie powstawania coraz to nowych kół krajoznawczych i obozów wędrownych, w okresie, kiedy się mówi o nasycaniu programów szkolnych, programów organizacji harcerskiej treścią krajoznawczą, ażeby koła krajoznawcze młodzieży szkolnej uzyskały swój organ, koordynujący ich poczynania i stanowiący łącznik między nimi.

ZBIERAĆ ALE PO CO?

— oto pytanie jakie zada być może niejeden młody krajoznawca. Zbieranie bowiem materiałów dotyczących historii i kultury swej rodzinnej wsi lub miasta i swojego regionu wysuwa się na jedno z naczelnych zadań młodzieżowych kół krajoznawczych. Komu jednak i na co przydadzą się skrupulatne opisy i szkice zabytkowych domów lub relacje starych mieszkańców o czasach ich młodości? Z chwilą rozpoczęcia jakiegokolwiek akcji zdawać sobie musimy oczywiście jasno sprawę z jej celu. Jaki więc cel ma akcja zbierania krajoznawczych materiałów? Oczywiście posiada ona ogromne znaczenie dydaktyczne, ale przesadne podkreślanie dydaktycznych walorów tej akcji zawsze trącić będzie szkolną nudą i drętą mową o „samokształceniu”. Nikt się dziś nie da namówić do udziału w tego rodzaju przedsięwzięciu, jeżeli nie będzie wyraźnie widział konkretnej użyteczności swej roboty. W rzeczywistości zresztą sprawa przedstawia się nieco inaczej. Okazuje się bowiem, że młodzieżowe koła krajoznawcze w odpowiednich warunkach mogą w

bardzo poważnym stopniu dopomóc polskim uczonym w ich pracy badawczej. Co więcej, istnieją dziedziny wiedzy, w których szeroka i odpowiednio zorganizowana współpraca krajoznawców całej Polski z ośrodkami naukowymi może przyspieszyć rozwiązanie problemów do dnia dzisiejszego nie rozwikłanych.

Dla przykładu weźmy pod uwagę badania nad historią kultury polskiej. Pisząc jakąkolwiek ogólną pracę z zakresu rzemiosła, budownictwa czy handlu w ich rozwoju historycznym musi uczoney uwzględnić obok wielkich miast także i prowincję, to istne morze drobnych miasteczek, osad i wsi. Musi wiedzieć jak rozwijały się w nich rzemiosło, i handel, jak żyła ich ludność. Jakie były upodobania i ambicje tych ludzi i co na nie oddziaływało. I tu sprawa się komplikuje. Bo o ile w starych wielkich miastach uczoney ma do dyspozycji bogate archiwa miejskie i obfitą literaturę, to w małych miejscowościach znikome archiwa albo uległy zniszczeniu w czasie którejs z wojen, albo są rozproszone po prywatnych mieszkaniach, gdzie gniją wśród innych szpargałów, a dotarcie do nich wymaga niekiedy przenikliwości i zuchwalstwa na miarę Sherlocka Holmesa. A są wśród nich nieraz stare zapiski cechowe i kroniki parafialne, będące prawdziwą

kopalnią wiadomości. Na domiar złego w wielu z tych prowincjonalnych wciąż podupadających miejscowości przestano w ubiegłym stuleciu prowadzić zapiski miejskie i cechowe. Nasza wiedza o życiu tych osiedli urywa się na XVIII stulecie. Jak wypełnić przynajmniej w części tę przyszło 150-cioletnią lukę w dziejach ongiś niekiedy nawet sławnych osiedli? Pomóc tu może tylko zebranie ustnej tradycji, żyjącej w pamięci sędziwych mieszkańców. Ale same relacje ustne i pisemne to jeszcze nie wszystko. Aby napisać w pełni syntetyczne dzieło uczoney musi rozporządzać olbrzymią ilością planów, szkiców, rysunków i fotografii, zrobionych w miejscowościach, o których pisze. Kto i kiedy dotrze w terenie do zagubionych archiwów, przełamie nieufność starców pamiętających dawne dzieje swej rodzinnej osady? Kto dokona dokumentacji ilustracyjnej?

Co roku ruszają w teren dziesiątki archeologów, etnografów, historyków sztuki, architektów i socjologów. Przeprowadzone przez nich badania pochłaniają setki tysięcy złotych. Ludzie ci pracują gorączkowo chcąc wygrać wyścig z czasem. Kolejne katastrofy nawiedzające w ciągu ostatniego stulecia nasz kraj nie tylko rujnowały wytwory naszej kultury ale również uniemożliwiały tak regularną ich inwentaryzację, jaką w tym czasie przeprowadzały u siebie

Niemcy, Szwajcaria lub kraje skandynawskie. Dziś zmiany społeczno-gospodarcze prowincji postępują tak szybko, że być może za parę lat już pewne tradycyjne obrzędy, stroje, szczegóły rzemiosła artystycznego a także tradycje dawnych dni zaginą bezpowrotnie. Nie stać nas na całą armię terenowych badaczy i dlatego tak wielkie nadzieje chcielibyśmy łączyć z odradzającym się młodzieżowym krajoznawstwem. Każde koło krajoznawcze może z łatwością w swej miejscowości wyłowić materiały o kapitalnej nieraz wartości naukowej. Aby jednak działalność młodych krajoznawców była jak najprędzej pożyteczna takie ośrodki naukowe jak Polska Akademia Nauk, Państwowy Instytut Sztuki i wyższe uczelnie winny im wyjaśnić dokładnie co i w jaki sposób należy zbierać w dzisiejszym stadium badań. Im prędzej to nastąpi, tym lepiej dla obu stron. A zatem nie dublujemy już raz kiedyś wykonanej roboty, nie zbieramy materiałów zalegających później latami bezużytecznie półki świetlic szkolnych, lecz prowadźmy systematyczne opisy inwentaryzacyjne pod kątem potrzeb konkretnych naukowych odbiorców i o ile możliwości publikujemy jak najprędzej zebrane materiały. Wydaje mi się, że temu właśnie winien służyć w dużej mierze reaktywowany *Orli Lot*. Leszek Dzięgiel



CIEKAWOSTKI SPRZĘTOWE W TURYSTYCE NIEMIECKIEJ

Problem umieszczenia ubrań i zabezpieczenia ich przed wilgocią w kajaku czy w jakiegokolwiek łodzi — rozwiązuje torba plastikowa zamykana na zamek błyskawiczny.



Skrzydółka wykonane z lekkiego metalu umieszcza się na kołkach namiotowych (śledziach). Powiększona w ten sposób powierzchnia „śledzia” umożliwi rozbić namiotu na piasku czy śniegu. Zabezpiecza również namiot przed silnymi, porywistymi wiatrami.

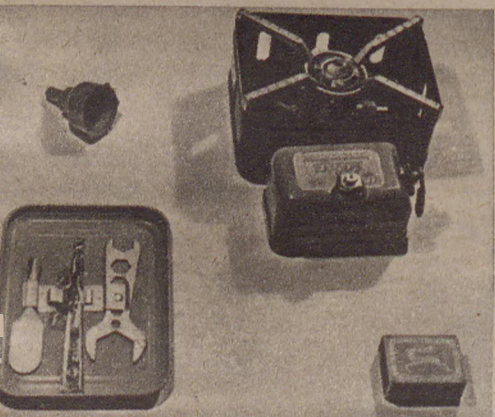


Model kuchenki noszący odpowiednią do swojego ciężaru nazwę „Baby” (wagi 0.700 kg, rozmiary 14,2x10, 8x7 cm) posiada dużą wydajność bowiem przy napełnieniu 1/4 l benzyny



Enders

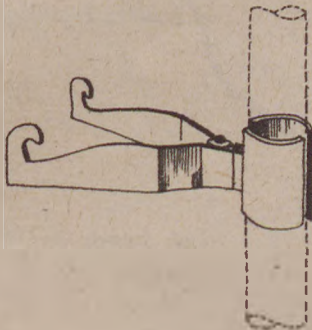
pali się bez przerwy godzinę i 12 minut. Kuchenkę taką zabierać można na wycieczki piesze lub rowerowe. Zdjęcia przedstawiają kuchenkę „Baby” zamkniętą i przygotowaną do gotowania.



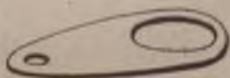
Ten oto „korkociąg” umożliwi szybkie (bez użycia młotka, czy kamienia) wydobyć „śledzi” z podłoża.



W namiocie można rozwieszać ubrania na różnego rodzaju hakach wykonanych z aluminium. Umieszcza się je na masztach namiotu.



W taki sposób jak na rysunku obok można zakończyć linki przy namiotach.



Opracowała Maria Lechowska. Oryginal kuchenki Enders-Baby (chyba jedynej w Polsce!) zademonstrował nam p. Zbigniew Płonka z Krakowa. Zdjęcie wykonał Zbigniew Łagocki.



SŁOWACKI RAJ DOKOŃCZENIE ZE STR. 32

czyle 1000 huzarów i 400 żołnierzy zaciężnych. Wezwani do Kapituły Spiskiej przez Batorego panowie i przedstawiciele miast ze Spisza i Szarysza uradzili zniszczyć i zrabowany klasztor zburzyć, co też uczyniono, by nie stał się znowu kiedyś punktem oparcia dla zbójców. Reszta kartużyjskich mniichów przeniosła się do Czerwonego Klasztoru, częścią zaś do Lewoczy. Drewniane rzeźby przewieziono z opuszczonego Klasztorzyska do kościoła w Szczawniku, gdzie było opactwo cystersów, dzwony zaś do Letanowic. Ale dzwon znakomitego ludwisarza Konrada Gaala, tworzącego swe dzieło w Spiskiej Nowej Wsi za czasów Ludwika Wielkiego, został przewieziony do Hrabuszyca, bo według miejscowej legendy do Letanowic konie nie chciały go ciągnąć. Reszty zniszczenia dokonał rok 1834, w którym z murów Klasztorzyska biskup Bélik wystawił kaplicę i wieżę kościoła w Szczawniku.

Takie są dzieje ruin Klasztorzyska, w pobliżu których stoi dzisiaj schronisko turystyczne.

Polskiego wędrowca prowadzi droga do Słowackiego Raju przez miasto Poprad i przez obniżenie Bramy Ganowieckiej stanowiącej naturalne przejście w dolinę Hernadu.

Brama Ganowiecka obfituje w cieplice i termy w Ganowcach, Kiszowcach, Andraszowcach, Harce, Szczawniku i Szwabowcach, banowieckie trawertyny zawierają kopalną florę plejstocena.

Okolica ta zainteresuje także historyka. Oto po utracie doliny Hernadu przez Polskę, co stało się za Bolesława Krzywoustego, Węgrzy osadzili tu na swych północnych kresach tak zwanych kopijników (lanceteati), których zadaniem było bronić nowej granicy przed

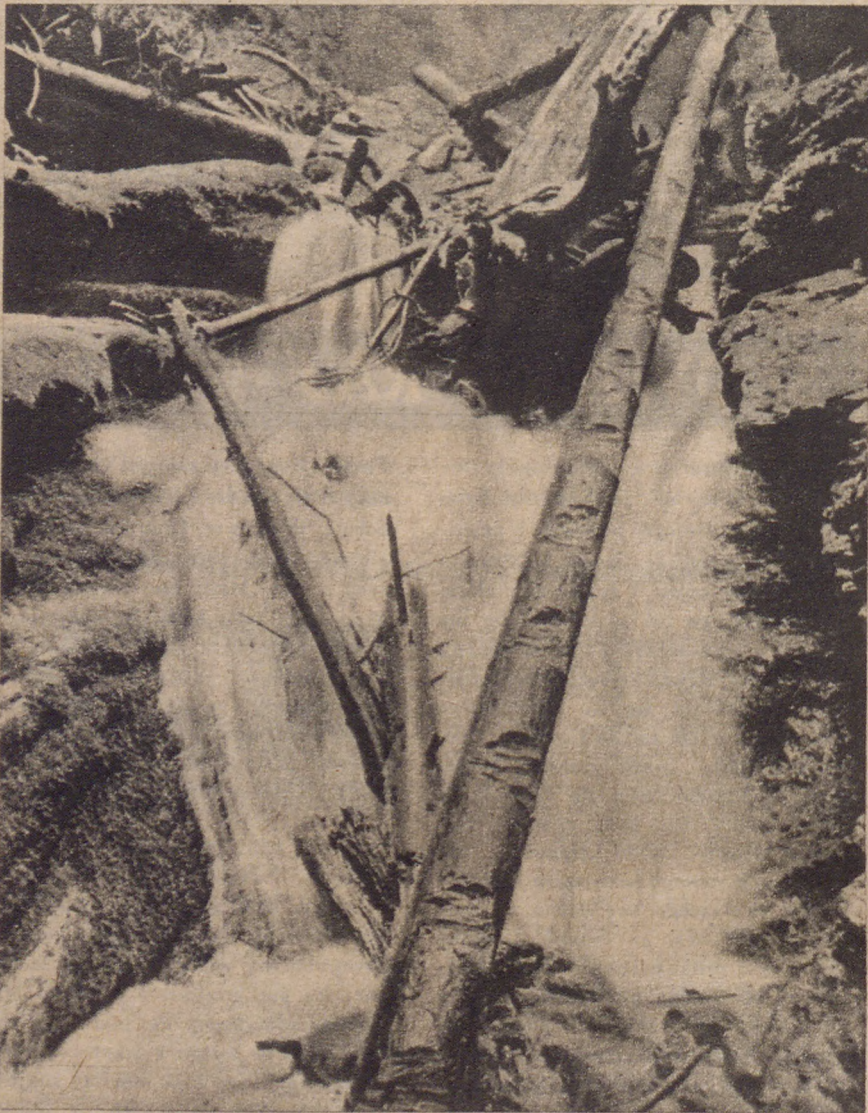
Polską. Kopijnicy założyli 14 osad ciągnących się między Czwartkiem a Spiską Sobotą. Prymowce, Ondraszowce, Horka, Hozelec, Betlenowce, to nazwy niektórych z nich. Miały one osobną autonomię aż do roku 1802. Potomkowie kopijników posłowaczyli się, część ich wyemigrowała na Węgry. Z Betlenowiec wywodził się możny ród Thurzonów, którego odroślą byli Thurzanowie krakowscy, posiadający osobną kaplicę w kościele Mariackim.

W tutejszych miejscowościach spotyka się kościółki jeszcze romańskie z XIII w. względnie wczesnogotyckie. Wiejskie kościółki mają czworoboczne prezbiterium, nawę z płaską powalą i czworoboczną wieżę od strony zachodniej. Są one gotyckie z pewnymi przemykami romańszczyzny. podwójne okna w wieżach — portale z dekoracją jeszcze romańską). Tego typu kościoły znajdują się w Spiskich Włachach, w Spiskiej Sobocie, w Lubicy. Nieco późniejsze, z drugiej połowy XIII w. są kościoły w Granownicy, Letanowcach, Gargowie (Harhow) i Hrabuszycach. Większość ich posiada ołtarze tryptykowe a także zabytkowe dzwony i chrzcielnice. Jak mówiliśmy, z wyrobu ich słynęła Nowa Wieś Spiska, która stanowiła stolicę 13 miast spiskich pozostających od roku 1412—1769 w zastawie Polski.

Zwiedzając cuda krajobrazowe Słowackiego Raju, warto także zwrócić uwagę na przyległe wioski i miasteczka, w których więcej niż gdziekolwiek indziej na obszarze Karpat dochowało się klejnotów sztuki. Dobrze informuje o nich wydany w r. 1921 *Przewodnik po Spiszu i Orawie* Mieczysława Orłowicza, oraz przewodnik po tych samych krainach Jana Reychmana wydany w 1937 r.



MARIAN GOTKIEWICZ



Woda drąży w wapiennej skale kotły, w których podczas powodzi obracają się wielkie otoczaki niby młyńskie kamienie. Ta sama woda rozmywa skałę, tworząc w niej niewielkie wprawdzie, ale malownicze jaskinie o nazwach takich jak Złata Diera, Zlevik, Rużowa Jaskyna. Kto wie? Może to tylko mały ułamek tego co chowa w sobie podziemny świat Słowackiego Raju.

Pod mianem tym rozumiemy część Wierchowiny Wernarsko-Gnileckiej, zbudowaną z wapieni. Płytę wzniesioną do wysokości 1158 m rozcina wspaniały przełom Hernadu i kaniony jego prawobocznych dopływów. Płyną one dnem głębokich na 200 metrów szczelin skalnych wąskich i tak stromych, że w niektórych naliczyć można do 20 wodospadów. Doliny tych potoków, po słowacku „rokliny”, przejść może turysta od ujścia ku źródłom jedynie korzystając z żelaznych drabinek i klamer, zalewanych niekiedy przez nurt wodospadów. Z najważniejszych „roklin” wymienię Kysel, Sokolą Dolinę, Suchą Białą, Piecki, Wielki Sokol i Mały Sokol. Ściany ich są tak strome, że pojedyncze drzewa,

jodły, świerki, cisy i jawory z trudem tylko mogą się na nich zakorzenić. Za to wyżej na wierzchołkach szata leśna jest bogata. Z rzadkich, chronionych roślin wymienię szarotkę, złotogłów i goryczkę.

Na skalnym ramieniu oddzielającym dwa kaniony ciągną się długim murem ruiny romantycznego Klasztorzyska. Kawał dziejów Spisza przywarł do tego miejsca.

Tu znaleziono ślady osady celtyckiej. Tu schronił się w r. 1241 przed Tatarami żupan spiski Jordan Górgey i miejsce to oszańcował wspólnie z kolonistami niemieckimi, którzy już wtedy koło Zamku Spiskiego mieszkali. Stąd stara nazwa tego uroczyska: Lapis Refugii, po polsku Chowka lub Hledońska Góra, po słowacku Utočyzsčce, po niemiecku Schauberg. Po odejściu Tatarów Jordan otoczył to miejsce murem, zbudował tu zameczek i kaplicę, lecz z powodu braku wody zdecydował się przenieść gdzie indziej i założył miasto Lewoczę.

Owczesny król węgierski Bela IV ściał na Słowację licznych osadników

z Niemiec, ale także z Polski i Rusi. Z jego to ramienia udał się do tych słowackich krain Jordan Górgey po osadników i tyłu ich na Spisz sprowadził, że w nagrodę za to otrzymał od króla wieś Toporzec.

Hledońska Góra znowu się zaludniła gdy w r. 1299 za poradą plebana Marcina z Zakowiec Fraternitas 24 proboszczów spiskich postanowiło ufundować na niej klasztor dla Kartuzów sprowadzonych ze Styrii. W r. 1305 założono na Lapis Refugii fundamenty pod oratorium św. Jana Chrzciciela, w r. 1307 stanął kościół i kilka cel dla mnichów. Zostali oni hojnie uposażeni przez Karola Roberta a także przez mistrza Kokosza z możnego rodu Berzeviczych. Między innymi Kokosz dał Kartuzom kledońskim wieś Lechnicę nad Dunajcem, gdzie w r. 1319 przystąpili oni do budowy Czerwonego Klasztoru. Była to fundacja ekspacyjna Kokosza za zamordowanie przez niego Fryderyka Górgeya, syna hrabiego spiskiego.

Budowa Czerwonego Klasztoru rozpoczęła się wnet po odpadnięciu od Polski Lubowli, Gniazd i Bodolińca czyli tak zwanego dystryktu podolinieckiego, któ-

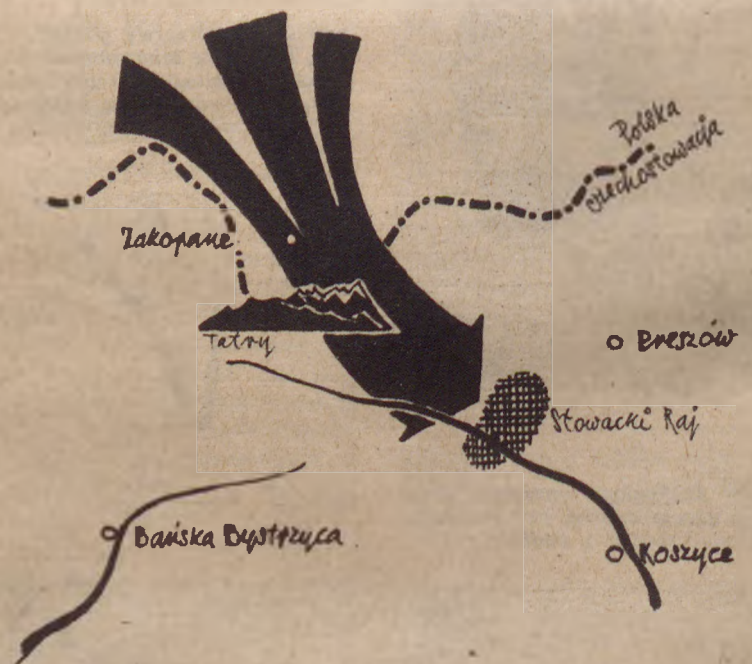
ry aż do tego czasu stanowił integralną część kasztelanii sądeckiej. Wtedy również opanowali Węgrzy definitywnie Zamagurze, budując na prawym brzegu granicznego już teraz Dunajca „castrum Dunajecz” czyli zamek w Niedzicy.

Klasztor na Hledońskiej Górze był w pierwszej połowie 15 wieku dwukrotnie pustoszony przez husytów. Z upadku podniosła go w r. 1506 Jadwiga Zapolska, wznosząc tu nową bazylikę.

Ale nastaly znowu czasy niespokojne: szerzyła się reformacja wspierana przez możnowładców zarówno na terenie węgierskiego Spisza, jak i w 16 miastach spiskich pozostających od r. 1412 w polskim zastawie. Toczyły się tu walki Jana Zapolyi pretendującego do korony węgierskiej z wojskami cesarza Ferdynanda. Bogata w zabytki ziemia spiska mocno ucierpiała. Obliczają, że w latach 1526—1550 przetopiono tu na działa nie mniej jak 160 dzwonów kościelnych.

W r. 1543 klasztor hledoński został zdobyty i złupiony przez zbójcką bandę Podmanickiego, lecz wkrótce opanował go kapitan królewski Batory Bona na

DOKOŃCZENIE NA STR. 31



W dniach 28—31 sierpnia odbywa się w Słowackim Raju (Slovensky Raj) IV Słowacki Złot Turystów

NOWE WARUNKI PRENUMERATY:

„Ruch” listonosze i poczta przyjmują wpłaty nie do 10-go a do 15-go miesiąca poprzedzającego kwartał. A więc na październik, listopad, grudzień można wpłacać prenumeratę do 15-go września (szczegółowe wskazówki na str. 2). W Państwowym Wydawnictwie Naukowym natomiast można wpłacać do 25-go każdego miesiąca prenumeratę na miesiąc następny. A więc: do 25-go września — na październik, listopad... do 25-go października — na listopad, grudzień... i tak dalej. Nr konta PWN — 1-6-100 020 (patrz str. 2)

Otrzymujemy wiadomości, że ZIEMIA nie zawsze dociera do wszystkich miejscowości. Dlatego najlepszym sposobem zapewnienia sobie stałej dostawy pisma jest — prenumerata. Przypominamy jeszcze raz: W „Ruchu” i na poczcie — do 10 września, w PWN — do 25 września.

W NASTĘPNYM NUMERZE M. IN.:

NA CZYM GRA DUDA?
PRAWDA O SPISZU
PODZIEMNA RZEKA
SMOKOWIE JADOWICI